MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 50. WARSZAWA, 8 GRUDNIA 1935 R. CENA NUMERU 80 GR.

WARTOŚĆ NAUKI

MOŻE się wydać zbędnem rozwodzenie się nad wartością nauki w czasach tak wielkiego jej rozkwitu, gdy każdy rok przynosi nowe jej triumfy, gdy nauka „przestała być tajemnicą ścisłego koła wybranych, przestała być konspiracją, do której wtajemniczano adeptów i którą starano się możliwie ograniczyć do niewielkiej liczby osób, a przeciwnie, rozszerzyła się tak, że „zatarła swe pierwotne granice...gdy zaczęto stosować wyniki nauk ścisłych do techniki" (J. St. Bystroń). Wszak nauka stworzyła i tworzy dzisiejszą technikę, zmieniła — i zmienia — zasadniczo życie, odczuwa to nawet prostaczek. Ale właśnie ta demokratyzacja nauki, to „zatarcie różnicy między nauką a życiem", doprowadziły do spoufalenia, a wskutek tego i bagatelizowania nauki przez niedouczonych dyletantów, których kaprys przeznaczenia dziejowego wysunął czasowo na decydujące stanowisko. Taki bardzo swoiście rozumie słowa prof. Bystronia: „uczonym jest każdy z nas, który stosuje umiejętnie pewne wiadomości, bez względu na to, w jakim zakresie i w jakim celu". Jeżeli można mówić, że w dawnych wiekach nauka była „monopolem garstki arendarzy", to dziś tych arendarzy, grajzlerników i faktorów namnożyło się bez liku, a przygniatająca większość z nich widzi w nauce nie wzniosły ideał, lecz pomoc dla własnych interesów osobistych.

Dziś bardzo wielu zdobywa naukę nie dla wiedzy, lecz dla celów ubocznych życia praktycznego. Większość adeptów, nawet studjów akademickich, to ludzie praktyki. I nie można się tem gorszyć, źleby było, gdyby ogół teoretyzował, gdyby wszyscy byli „filozofami", a przeciwnie, dobrze jest, gdy właśnie praktycy mają jaknajlepsze przygotowanie, oparte na właściwej i gruntownej nauce, gdy mają też zrozumienie dla nauki, a nie tylko praktycznych potrzeb życia bieżącego. Ale trzeba też pamiętać słowa J. Supińskiego: „Praktyka bez teorji, doświadczenie bez nauki, to ciało bez ducha, to jeszcze nie wykształcone jestestwo człowieka, ale też teorja bez praktyki, nauka bez doświadczenia, to duch bez ciała, to jeszcze nieziemskie jestestwo".

Wartość nauki czystej rozciąga się w kierunku jednostkowym, ale też społecznym i ogólnym.

Indywidualnie każda wiedza wyrabia formalnie, a im jest głębsza i poważniejsza, tem silniej i szerzej działa. Pod jej wpływem pracownik przestaje być rzemieślnikiem pracującym wedle szablonu, a staje się twórcą samodzielnym, formującym rzeczywistość na miarę swego ducha.

Nauka realnemi wiadomościami przenosi nas poza zakres zasięgu zmysłowego i bezpośredniego doświadczenia, przełamuje granice czasu, wiążąc teraźniejszość z przeszłością, czerpiąc z niej wskazania i wnioski na przyszłość. Ona dalej nietylko umożliwia poznanie, ale i rozumienie świata. A to znów w dalszym ciągu wiedzie do stopniowego opanowywania świata, ujarzmiania przyrody, doskonalenia urządzeń, ma więc znaczenie praktyczne.

Ogromny wpływ wywiera na stronę uczuciową. Prawdziwa twórczość naukowa wymaga pokonywania trudności, nieraz bardzo znacznych, niekiedy wprost poświęcenia. Znamy całe szeregi badaczy, którzy dla zdobycia nowych prawd nie wahali się poświęcić wszelkich dóbr ziemskich, zdrowia, życia. I nauka polska może pochlubić się takimi przedstawicielami: wymieniam Tadeusza Godlewskiego, profesora lwowskiej politechniki, który stał się ofiarą zawodu, pracując nad zabójczemi promieniami. Bodźcem do tych wysiłków i poświęceń jest urok samych badań, głębokie zadowolenie w przezwyciężaniu trudności, w zmaganiu się z przeciwnościami. Dotyczy to tak czynników fizycznych, jak i psychicznych. W niem źródło sportów, zapasów, zawodów, ale i rozrywek i prac umysłowych. Takie zadowolenie duchowe daje więc też pokonywanie trudności, związanych z docieka-

niem prawd naukowych, rozwiązywanie zagadnień i odkrywanie tajników, a ponieważ sam przedmiot jest bardzo wzniosły, wznioślejszy niż zwycięstwo nad przeciwnikiem w walce fizycznej, turnieju, zapasach, boksie, a również sama czynność jest subtelniejsza, niż pokonywanie trudności przy wyczynach fizycznych, choćby nawet bardzo szlachetnej natury, wiążących się z zadowoleniem estetycznem np. w taternictwie, tańcu, gimnastyce i t. p. — przeto wywiera wpływ dodatni na całą osobowość, wyrabia i doskonali charakter.

Wykrywanie harmonji zjawisk, umożliwiające sformułowanie praw i zasad, rodzi zadowolenie nietylko intelektualne, ale też uczuć, które można zestawić z uczuciem estetycznem, rodzącem się pod wpływem harmonji barw lub zespołu tonów muzycznych w symfonji, uczuć przytem silniejszych i głębszych, bo bardziej określonych i działających też na nasz intelekt. Gdy znów, przeciwnie, natrafiamy na zboczenia od normy, na wyjątki, które przeczą ogólnym zasadom, wtedy, jak zauważa Henryk Nusbaum, „uczuwamy wprawdzie chwilowo pewien zgrzyt... ale to znów zaostrza naszą ciekawość niezwykłością swoją, pobudza myśl do głębszej, intensywniejszej pracy, porywa naszego, badawczego ducha"... i, dodam, uczy nas skromności wobec ogromu wiedzy. Ów urok prawdy i harmonji intelektualnej jest tak silny, że przygłusza wszelkie inne uczucia, mówić zaś, że badanie naukowe jest suchą, bezuczuciową robotą rozumową, może tylko ten, kto nie zetknął się czynnie z pracą naukową, albo traktuje ją jako rzemiosło lub szczebel do materjalnej karjery.

Nie mniejsze znaczenie społeczne. Przedewszystkiem podniesienie poziomu duchowego jednostek oddziaływa w ten sam sposób na całość, podnosi kulturę, nawet materjalną. Mimo trudności uchwycenia związku przyczynowego między oświatą a materjalną siłą społeczeństwa, zależność ta zaznacza się wyraźnie i stwierdza ją wprost doświadczenie. Tak np. zdawałoby się, że historja, filozofja, krytyka literacka nie mają żadnego wpływu, ani nie pozostają w żadnym związku z rozwojem rolnictwa, które doskonalić mogą chyba tylko wiadomości fachowe. Tymczasem statystyka wykazała, że w Danji, po zaprowadzeniu ogólniekształcących wykładów uniwersytetów ludowych, olbrzymio wzrosła produkcja rolna. „Cywilizacja więc" — powiada słusznie Al. Świętochowski — „jest siłą materjalną. Naród nie ma do wyboru w walce o byt — być ciemnym lub oświeconym: on musi ucywilizować się, jeżeli nie chce zginąć". Dlatego też słuszną jest zasada wymagania przygotowania pełnego w szkole średniej ogólnokształcącej, zanim się rozpocznie studja specjalne na uniwersytecie.

Nauka z jednej strony stanowi uzasadnienie i wyjaśnienie praktyki, z drugiej jej podstawę i korekturę. Wyglądające dla profanów na zabawkę próby i doświadczenia uczonych mogą stać się zaczątkiem zasadniczych przewrotów. Czy gdy Galvani obserwował drgające nóżki żabie, a Franklin wypuszczał swego latawca, czy wtedy ktoś mógł przewidzieć rozwój współczesnej elektrotechniki? A czyż dzisiejsza mikrobiologja, mająca tak szerokie i doniosłe znaczenie w medycynie, nie zaczyna się od obserwacyj Leeuwenhoecka „nalewek" prymitywnym mikroskopem, co przez dłuższy czas było raczej modną zabawką towarzyską, niż tematem badań. Znaczna ilość przeróżnych urządzeń o społecznem znaczeniu bierze swój początek z cichych i skromnych badań naukowych.

Tak samo w dziedzinie myśli. Rozszerzenie prawdy, wygnanie przesądów i uprzedzeń, otwieranie nowych horyzontów, formowanie całego poglądu na świat. Ogół inteligentny rozumie znaczenie literatury pięknej dla życia kulturalnego ludzkości, zbyt często jednak nie docenia wartości pracy i odkryć naukowych. A przecież działalność genjuszów wiedzy jest niemniej doniosła, śmiem twierdzić, nawet donioślejsza. Bezwarunkowo nader cenną jest spuścizna duchowa Miltona lub Byrona, Dantego czy Schillera, ale o wiele dotkliwszy dla kultury byłby brak Galileusza, Newtona, Kanta, Darwina, gdyby inny genjusz nie dokonał tych samych odkryć i pomysłów i nie zastąpił ich dzieł.

Mówimy tu o ogólnoludzkiem znaczeniu nauki, niemniejsze jej znaczenie i ze stanowiska narodowego. Nauka, jak wyraził się Pasteur, nie ma ojczyzny, ale uczony powinien ją posiadać. „Nabycie gruntownej wiedzy i praca na polu nauki ojczystej przyczynia się w bardzo wysokim stopniu do podniesienia kultury ojczystej". Stąd słuszna troska poszczególnych narodów i państw organizowania rodzimych Akademij i rodzimych wydawnictw. Dlatego też z szacunkiem i podziwem musimy traktować patrjotyzm Stefana Geoffrey St.-Hilaire'a, tak dbającego o sprawę nauki ojczystej. Gdy Berthollet zaproponował młodym profesorom w r. 1798 udział w niebezpiecznej kampanji wojennej o ukrywanym narazie kierunku, z perspektywą niewoli na pontonach angielskich, lecz i wielkich zdobyczy naukowych — Cuvier odmówił, 26-letni Geoffroy zgodził się i towarzyszył wobec tego wyprawie generała Bonapartego do Egiptu. Nie chcę tu mówić o jego wspaniałych odkryciach w czasie wyprawy, ale o jego stanowisku, gdy Aleksandrja musiała kapitulować. Zwycięscy Anglicy zażądali wydania wszystkich materjałów naukowych, zgromadzonych przez uczonych francuskich. Wysłany do pertraktacyj Geoffroy odmówił, grożąc spaleniem zbiorów, bez względu na następstwa. „Sławy wam się zachciewa: baczcie, abyście nie spalili bibljoteki aleksandryjskiej po raz drugi. Z nami róbcie sobie potem, co się wam podoba"... Zimny Anglik, generał Hutchinson, zdumiał się, ale ustąpił: zdobycze uczonych francuskich pojechały do Paryża, jako wawrzyn większy i trwalszy od początkowych sukcesów wojennych.

Ale ten wielki patrjota umiał też cenić patrjotyzm innych, on nie był szowinistą, dyszącym niechęcią do wszystkiego, co obce. Gdy w parę lat później wysłany został już przez cesarza Napoleona do badań naukowych w okupowanej Portugalji z poleceniem przewiezienia cenniejszych zbiorów do Paryża, on nietylko zawiózł wzamian liczne skrzynie z okazami wymiennemi, któremi wynagrodził miejscowe muzea za zabrane dublety, ale nadto uporządkował zaniedbane gabinety przyrodnicze. A przytem uratował z więzień kilku aresztowanych uczonych portugalskich, jak niejednokrotnie narażał się, ratując przyjaciół, czy to w czasie wielkiej rewolucji, czy lipcowej. Bo nauka nie ma Ojczyzny, ale uczeni Ją mają.

Nauka, to służba wzniosłej idei, podnosząca na wyżyny adeptów, a przez nich całe społeczeń-

stwa. Dobro, prawda i piękno, to wartości, których materjalnie nie można ocenić, ani zważyć, ni zmierzyć, ni oszacować właśnie dlatego, że są... bezcenne. W czasie największego kryzysu nie wolno o nich zapominać, ani ich lekceważyć. „Nie wolno zabierać oleju z latarni morskiej, choć go nie mają sąsiedni wieśniacy" (Mickiewicz). Prawda—to potęga silniejsza, niż zasoby materjalne. „Nie mieczem wojuje ona, ale mocą przekonania". Przy niej też zawsze ostateczne zwycięstwo.

LUDWIK JAXA-BYKOWSKI

Z DZIEJÓW WSI POLSKIEJ

ELEKCJE CHŁOPSKIE W LATACH 1776, 1769 i 1782

Nie żył chłop pańszczyźniany w dawnej Polsce życiem publicznem, nie miał praw obywatelskich a jednak w kronikach parafji w Nowosielcach, a zapewne i w kronikach innych parafij wiejskich zanotowano niejeden przejaw życia społecznego chłopskiego, ku któremu lgnęła wieś usilnie, co się w wymienionych kronikach ujawnia.

Stąd wniosek, że nie brakło na wsi instynktów społecznych, a tylko teren ich był zbyt szczupły, do sądów gromadzkich pod okiem dziedzica zacieśniony i do organizacyj religijnych.

Taką religijną organizacją, szerzącą się po parafjach wiejskich, w pierwszej zwłaszcza połowie XVIII wieku, były Arcybractwa Różańca Świętego, którego księga wieczysta, zapisywana do ostatnich lat współczesnego pokolenia, znajduje się na probostwie w Nowosielcach. Założono ją w roku 1747.

Jej pożółkłe od starości karty czytałem z wielką uwagą i dowiedziałem się wielu rzeczy ciekawych, które stanowią dokument organizacji społecznej chłopów w tym czasie i dają wyraz tęsknoty chłopskiej do zrzeszania się, do sprawowania urzędów i do społecznego honoru.

Księgę tę założono *ad maiorem Dei gloriam*, jak głosi napis, skreślony wprawną ręką plebana lub organisty w piśmie uczonego, zarazem nauczyciela w istniejącej przy kościele szkole parafjalnej, do której normalnie uczęszczało 10 — 12 chłopców. A oto jej pełny nagłówek:

Album

Arcybractwa Różańca Świętego pewnych nieba pełne Kandydatów Roku 1747 dnia ósmego października w sam dzień solennej introdukcji tegoż Arcybractwa — pierwsi w tym Rayu Maryi są zaszczepieni, którzy z innymi Jenże Ray zagęszczającymi kwitnąć będą przed Bogiem na wieki.

Tu następuje długi szereg nazwisk i imion wpisujących się do Arcybractwa mężczyzn i kobiet. Zapisy te powtarzały się w każdą pierwszą niedzielę miesiąca i w każde święto Matki Boskiej, a każdy z nich zaczyna się introdukcją, pięknie ówczesnym stylem skoncypowaną, przyczem przy każdym zapisie ta introdukcja ujęta jest w innych zwrotach, nad których skombinowaniem trzeba było trochę pomyśleć, by nie powtarzały się.

W latach 1747, 1748 i 1749 zapisy członków Arcybractwa zaczynały się następującemi zwrotami: W pierwszą niedzielę listopada stanęli pod cieniem opieki Maryi... w dzień św. Marcina Biskupa i Wyznawcy wyznali się być sługami Maryi... niepośledniemi Maryi zostali sługami... na fest Niepokalanego Poczęcia tejże służyć poszli... Królowej Nieba i Ziemi oddali się w wieczne poddaństwo... Jejże ofiarowali serce... z miesiącem rzucili się pod nogi Maryi... nieozięble służyć przyobiecali... na fest Zwiastowania Najśw. Maryi z Aniołem dzisiejszym Maryję pozdrawiać przyobiecali... w raju Maryi te nowe zakwitnęły drzewka w niedzielę maja pierwszą... w dniu zesłania Ducha Świętego w Oblubienicy Jego statecznem zakochali się sercem... do Maryi w padole płaczu ochotnie z pozdrowieniem przystali w dzień Jej nawiedzenia... sercem przylipnęli do Maryi... stali się dziećmi przywłaszczonymi Najukochańszej Maryi Matki w dzień Jejże samej narodzenia... uczynili początki usług swoich... czuwali innych uprzedzić do Królowej Niebieskiej z podarunkiem niewolniczych usług... zapocili się ochotą służenia Maryi i t. d.

Oto najciekawsze, charakterystyczne dla ówczesnych pojęć zwroty stylistyczne, z gwary chłopskiej przywłaszczone lub jej narzucone przez obrzędy życia kościelnego.

Ciekawszym od tych obrządków społecznych jest ustrój Arcybractwa w szerokich ramach organizacji kościelnej zakreślony, a będący naśladownictwem ustroju państwowego Rzeczypospolitej, gdzie nie mając żadnych praw ni urzędów — chłop chętnie ich używał w wiejskiem zrzeszeniu organizacji religijnej.

I oto dowiadujemy się, że w Arcybractwie odbywały się uroczyste elekcje, że prawie trzecia część żyjących w parafji włościan została sprawiedliwie obdzielona urzędami i honorami społecznemi, które stanowiły zapewne główną siłę atrakcyjną organizacji kościelnej, zrzeszającej ponadto — pewnych nieba kandydatów, jak głosi nagłówek księgi-albumu. Każda z tych elekcyj odbyła się na chłopskiej... Woli, w obrębie kościoła, niczem parafjalny chłopski sejmik. A oto jej protokuł:

Elekcja

Urzędników i Starszych braci i sióstr Różańca Św. uczyniona w przytomności J. Mości Xiędza Franciszka Troppa, kanonika Jarosławskiego, Plebana Nowosieleckiego, tudzież J. M. Xiędza Mateusza Leśniakiewicza, wikarego tegoż kościoła roku 1766 dnia 11 maja o czasach Nieszpornych za uderzeniem Dzwonu Wielkiego przy licznie zgromadzonych parafjanach i za dobrowolną zgodą onychże przy wezwaniu wprzód Łaski Ducha Przenajświętszego ci niżej opisani obranymi zostali.

A zatem po uderzeniu w Wielki Dzwon wybrani zostali przedewszystkiem: „Opiekunowie czyli protektorowie" Arcybractwa w osobach ówczes-

nych dzierżawców Nowosielec, stanowiących własność księstwa Lubomirskich, w osobach W. J. M. Pana Ignacego Ćmielewicza, skarbnika owruckiego i jego żony W. J. M. Pani Konstancji z Pilichowskich Ćmielewiczowej, skarbikowej owruckiej. Na dalsze urzędy i godności w Arcybractwie wybrano włościan z Nowosielec i Bud Łańcuckich. Urzędów tych było bez liku, a przedewszystkiem przeorowie Arcybractwa: uczciwy Wojciech Koyder i uczciwy Wojciech Koman (gdyby był szlachcicem napisanoby: Adalbert a nie Wojciech), oraz podprzeorowie: uczciwy Franciszek Sowa, uczciwy Józef Sanok. To były najważniejsze urzędy.

Następuje długi rejestr wybranych po wezwaniu wprzód Łaski Ducha Przenajświętszego: 16-tu Konsultorów czyli radnych brackich, 16-tu Podskarbiów, 14-tu Dozorców Bractwa, 16-tu Prowizorów, 5-ciu Zakrystjanów, 6-ciu Kantorów, 8-miu Chorążych, 6-ciu Marszałków, 12-tu Jałmużników, 6-ciu nawiedzająch chorych, 2-ie Przeorysze z Panien, 2-ie Podprzeorysze z Panien, 26 Matek Brackich oraz 17 Panien czyli Sióstr do noszenia obrazów i zbierania jałmużny w kościele.

Następna elekcja z tym samym ceremonjałem odbyła się dnia 14 lutego 1769 r. a potem trzecia na Matkę Boską Różańcową w r. 1782. Brała w nich udział cała gromada na równych prawach,—sejmik parafjalny sprawując odwiecznym obyczajem gromadzkim, a uczestnicy jej nietylko „sercem przylipnęli do Maryi", ale i do organizacji społecznej, której chłopu ustawy ówczesne gdzieindziej odmawiały.

TADEUSZ OPIOŁA

UZUPEŁNIENIE ŻYCIORYSU

(Dokończenie)

PRZYCIŚNIĘTY oburzeniem powszechnem do muru dr. Aszkenaze zdobył się (dnia 23.2 w „Gazecie Porannej") na odpowiedź treści następującej:

1) ...jak stwierdził Żydowski Komitet Ratunkowy, nie wręczyłem osobiście żadnego memorjału misji francuskiej i dlatego zwracanie się z odnośnemi wezwaniami do mnie osobiście jest chybione;

2) nie znaczy to, iżbym nie solidaryzował się z Komitetem i nie przyjmował za jego czyny pełnej współodpowiedzialności, — atoli z powyższego stanu faktycznego wypływa, że nie dysponuję osobiście odnośnym materjałem, który jest w posiadaniu Komitetu, zatem wszelkie z tem w związku będące pogróżki, skierowane pod moim adresem, są nie na miejscu;

3) Komitet nie może ogłosić nazwisk osób podejrzanych o udział w rozruchach listopadowych, albowiem wypadki te i możliwy (!) w nich udział wymienionych osób, są przedmiotem badań i dochodzeń rządowej nadzwyczajnej Komisji śledczej, której Komitet cały swój materjał wraz z nazwiskami podanemi przez strony dał do dyspozycji, a ogłaszanie nazwisk osób podejrzanych w czasie tych badań, zdolne jest utrudnić, a ewentualnie nawet udaremnić śledztwo;

4) wykazy statystyczne, wypracowane przez biuro Komitetu, były wykazami stron poszkodowanych i były jako takie oznaczone (*nb.* nieprawda, bo cały patetyczny ton memorjału przyznawał im pełną wiarogodność!);

Jak długo te dochodzenia nie zostały zakończone, nie podobna li tylko na podstawie protokularnych zapodań stron poszkodowanych obwiniać publicznie osoby po nazwisku wymienione o ciężkie przestępstwa.

Stwierdzam, że nie ja się do misji zwróciłem, jeno misja do mnie... Moje oświadczenia polityczne złożone misji przysłużyły się sprawie polskiej z całą pewnością. Czy się jej przysłuży nagonka urządzona obecnie na żydów — wątpię.

Z całej sprawy wynikającą niezbitą konkluzję podano w „Słowie Polskiem" z dnia 27.2 w artykule podpisanym przez nas „m", którego oto streszczenie:

1) Dr. A. oświadcza, że ponieważ osobiście żadnego memorjału nie wręczał (*nb.* osobiście nie, osobiście był tylko prezesem Komitetu, który to prezes osobiście go wręczył), zatem zwracanie się do niego osobiście jest chybione. Dr. A. oświadcza jednak także, że solidaryzuje się z Żyd. Kom. Ratunkowym, który oficjalnie memorjał podpisał i że przyjmuje za czyny tegoż pełną współodpowiedzialność. Nie był zatem dr. A. zgoła ślepem narzędziem w ręku Komitetu, pośrednicząc przy wręczaniu memorjału misji francuskiej, co zresztą jasno z końcowego ustępu jego oświadczenia wynika, a z treścią memorjału wręczonego misji na skutek zwrócenia się tejże „osobiście" do niego, dokładnie był obznajmiony.

2) Zostawiwszy narazie tę kwestję na boku — p. Aszkenaze, czy jego Komitet, jako autor memorjału, podał misji obcego narodu szereg oskarżeń na społeczeństwo polskie, zanim śledztwo sądowe słuszność ich uzasadniło. Obecnie tenże autor, wezwany przez oskarżonych do uzasadnienia oskarżeń (rzuconych bez względu na toczące się śledztwo!), uchyla się od tego prostego moralnego obowiązku. „Współodpowiedzialny" dr. A. powiada, że odnośnym materjałem „nie dysponuje", a oficjalny autor, Komitet Ratunkowy oświadcza, że nie może zgłosić nazwisk ze względu na procedurę sądową.

Ale na tem nie koniec.

3) Oto *ipsissima verba* d-ra Aszkenazego: „Jak długo dochodzenia nie zostały zakończone, niepodobna na podstawie li tylko protokularnych zapodań stron poszkodowanych, obwiniać publicznie osoby po nazwisku wymienione o ciężkie przestępstwa". Dr. Aszkenaze uważa zatem, że osób o ciężkie przestępstwa obwiniać nie można, ale naród, „własny" naród można... Zaiste, przyzwoitość, czy tylko ostrożność adwokacka d-ra A. jest zatem więcej warta od jego przyzwoitości „Polaka" i obywatela...

4) Z tego samego gatunku jest tłumaczenie się d-ra A. że nie on zwrócił się do misji, lecz ona do niego, tak, jakby fakt ten w *meritum* sprawy stanowił jakąkolwiek różnicę. Jeżeli przecie stanowi, to tylko jedną. Oto tę, że gdyby dr. A. wystąpił wobec misji jako otwarty wróg społeczeństwa polskiego, byłby memorjał ten, jako przedstawiony przez „stronę", raczej krytyczniej przyjęty przez misję, niż wtedy, kiedy jej był przedstawiony przez łamiącego nad własnem społeczeństwem ręce „szczerego Polaka". P. A. chyba nie jest tak naiwny, aby tego nie rozumiał.

5) Wobec tego wszelkie twierdzenia d-ra A., że jego, w tajemnicy i na własną odpowiedzialność czynione, oświadczenia polityczne „przysłużyły się z całą pewnością sprawie polskiej" mogą być przez społeczeństwo przyjęte odpowiedzią, że się bez tego rodzaju orędowników obejdzie.

6) Zauważyć musimy, że na zakończenie nie waha się dr. A. chwycić zwyczajnej prowokacji, insynuując, że się urządza „nagonkę na żydów", kiedy chodzi wyłącznie i wyraźnie o osobę dr. Aschkenazego, — tak wyraźnie, że aż sam dr. A. przypomina, że on jest tylko współodpowiedzialny z Żydowskim Komitetem, z którym sobie urządził nagonkę na społeczeństwo polskie".

Co wobec powyższych faktów miała do gadania Lwowska Izba Adwokacka?

Staraliśmy się tego dociec i rozpytywaliśmy adwokatów Polaków, ale nie mogliśmy znaleźć takiego, którýby o podobnej uchwale cokolwiek wiedział. Jeżeli więc informator p. Tyrowicza podał mu fakt autentyczny, i jeśli wogóle uchwała taka tejże Izby Adwokackiej zapadła, a uwadze społeczeństwa polskiego uszła, to mogła oznaczać tylko to, że w olbrzymiej większości — może w danej chwili stuprocentowej — w Izbie tej znalazłszy się żydzi podzielają i aprobują stanowisko i postę-

powanie d-ra Aszkenazego i że wszyscy są siebie warci, wszystko już jedno, co z ich pobudek policzyć na karb nienawiści do Polski, co na karb żydowskiej kazuistyki, pogardzającej logiką prawną dla swego interesu, co na karb uczucia wobec swego prezydenta, czy jakichkolwiek innych sentymentów.

Ale takie „uchwały" nie powinny zakradać się do polskiego słownika biograficznego, jako podstawa objektywnych sądów historji. Powinno za nią było raczej posłużyć oświadczenie Wydziału Związku Adwokatów Polaków z dnia 4 kwietnia 1919 r., które po tem wszystkiem ukazało się w prasie, a które brzmi jak następuje:

„Związek adwokatów polskich na podstawie obrad i uchwał ogólnego zebrania członków i Wydziału z dni 3 i 4 b. m. wniósł do Wydziału Izby Adwokatów we Lwowie wskutek ogłoszonego przez tąż Izbę a przez d-ra Tobjasza Aschkenazego podpisanego wezwania do złożenia przysięgi adwokackiej, następujące oświadczenie: Ze względu na udział dr. A., prezydenta Izby Adwokatów we Lwowie we wniesieniu na ręce reprezentantów państw koalicyjnych wrogiego dla narodu polskiego memorjału w przedmiocie ubolewania godnych wypadków, jakie dotknęły we Lwowie część ludności żydowskiej, tudzież: ze względu na to, że dr. T. Aschkenaze z czynionych mu z tego publicznie zarzutów dotychczas nietylko się nie oczyścił, ale, owszem, nie wyciągnął stąd żadnych konsekwencyj, pozostając wyzywająco, jako prezydent Izby, w swem urzędowaniu, — Związek adwokatów polskich oświadcza, że członkowie jego, a jak należy przypuścić, i wszyscy wogóle adwokaci-Polacy złożą wobec tejże Izby, o ile są jej członkami, przysięgę tylko na ręce Wydziału tejże Izby pod przewodnictwem jednego z jej wiceprezydentów. O tem postanowieniu zawiadamia Wydział Związku równocześnie, tak członków Związku, jak adwokatów-Polaków celem zastosowania się.

Sekretarz: dr. Czesław Nieduszyński
Prezes: dr. Antoni Dziędzielewicz".

Sprawa znalazła echo w Sejmie dnia 25 lutego 1919 r., gdzie po mowie o niej Korfantego i wobec oburzenia całej Izby, posłowie żydowscy nie usiłowali nawet daremnie szukać dla d-ra Aszkenazego jakiegokolwiek usprawiedliwienia, a p. Szymon Askenazy uważał za potrzebne pokwapić się z następującem wyjaśnieniem w warszawskim „Kurjerze Porannym":

„W niektórych pismach w sprawozdaniu z mowy posła Korfantego wydrukowano: „Mówca wymienia tajny memorjał prof. Askenazego". Owóż autorem tego nieznanego mi memorjału miał być zapewne wiceprezydent m. Lwowa, adwokat krajowy, p. Tobjasz Aschkenaze, z którym, prócz pewnego podobieństwa nazwiska, nic wspólnego nie mam. Pragnąłbym raz na zawsze być uwolnionym od tego, zbyt czysto powtarzającego się *qui pro quo*.

Szymon Askenazy".

Czy dzisiaj sprawa może wyglądać inaczej „z perspektywy czasu"? tego czasu, który nawet nazwisko p. Askenasego, jak się podpisywał, albo Aschkenasego, jak go wówczas przeważnie w prasie podawano i jak go napisał Szymon Askenazy, — zmienił dziś na Aszkenaze?

Czas nie zawsze zaciera ostrość faktów i sądów. Otóż dziś wiadomo coś więcej, coś, co memorjałowi Aszkenazego, którego złożenie byłoby dość wstrętne samo przez się, gdyby nawet zawierał fakty prawdziwe, dodaje szczególnej ohydy. Wiadome to było już po roku, tylko nie było czasu z tem się parać. Oto okazało się, że ani dr. Aszkenaze, ani Żydowski Komitet Ratunkowy nie podali i nie mogli podać nigdy żadnego nazwiska na umotywowanie oszczerczej denuncjacji. Protokuły zaś policyjne stwierdziły, że: ukraińcy, opuszczając miasto, pootwierali więzienia, wypuszczając kilkuset więźniów kryminalnych, że pomiędzy obwinionymi był o wiele wyższy procent osób religji grecko-katolickiej, niż ich wypada na ogólny odsetek rusinów we Lwowie, że wielu najdrapieżniej rabujących było religji... mojżeszowej, że pomiędzy rabowanemi sklepami były również sklepy katolickie, że między obwinionymi nie było nietylko księdza, radcy skarbowego, urzędników, lekarzy etc., ale nie było wogóle ani jednego t. zw. „inteligenta", że udział wojskowych, a już tembardziej żołnierzy wojska regularnego w plądrowaniu był minimalny, i wreszcie, że wszystkie zajścia razem sprowadzają się do śmiesznie małych ram, nieproporcjonalnie nawet małych w porównaniu z tem, co się zwykle dzieje w dniach przechodzenia miast z rąk do rąk pozatem wojny. Dochodzenia stwierdziły ponadto aż nadto usprawiedliwione rozgoryczenie ludności polskiej z powodu zachowania się ogółu niemal ludności żydowskiej podczas inwazji ukraińskiej.

Można dla pamięci d-ra Aszkenazego, jako człowieka, znaleźć rozmaite okoliczności łagodzące na częściowe usprawiedliwienie jego postępowania, — a więc: zatrutą moralnie atmosferę i powszechną psychozę żydostwa, w której żył, dobrą wiarę osobistą co do faktów, nerwowe podniecenie, które przyćmiło mu zarówno właściwość procedury jak zmysł prawno-logiczny, — niema natomiast żadnego usprawiedliwienia jako dla Polaka, jeśli nim się czuł, czy żyrował kiedykolwiek.

I musimy stwierdzić, że z faktów przytoczonych wynika druga korektura do życiorysu jego w „Słowniku": Tobjasz Aszkenaze w krytycznej chwili, zmuszony do wyboru, okazał się nie Polakiem, lecz żydem, i w walce politycznej ze społeczeństwem polskiem, w charakterze prezesa Żydowskiego Komitetu posłużył się denucjacją i oszczerstwem.

Bardzo nam przykro, iż znaleźliśmy plamy na słońcu, na wielkiem dziele Polskiego Słownika Biograficznego. Zawsze i zawsze my Polacy jesteśmy nadto dobroduszni i kurtuazyjni, pozwalając bądź samym żydom mówić wśród nas o sobie a nieraz i o nas, co zechcą, bądź conajmniej polegając na ich informacjach, wobec których jesteśmy bezkrytyczni, zapominając, że tworzymy dzieło polskie, w którem chodzi o pogląd wyłącznie polski, a w faktach przytoczonych o prawdę objektywną.

Co uczyni z takim fantem redakcja Słownika? Czy „wybielone" w nim nazwisko Tobjasza Aszkenazego ma na wieki pozostać na fałszywe świadectwo postępowania żydów, — a co gorsza imputować przedwczesne animozje broniącemu się społeczeństwu i sejmowi polskiemu? — Czy zły czyn ma zostać nazawsze przykładem i zachętą do bezkarności innych?

Pod adresem redakcji Słownika jeszcze jedna uwaga: Byłoby pożyteczne poddać pewnej rewizji dysproporcję współpracowników żydów, a przedewszystkiem nazwisk omawianych, będących pochodzenia żydowskiego, w stosunku do faktycznego ich znaczenia dla kultury i historji polskiej, z którą się je w ten sposób wiąże, co gorsza, nie rozróżniając Polaków od żydów, jak np. Bersona Seweryna i innych, przy których nie zaznaczono nawet wyznania. Są to rzeczy niedopuszczalne.

P. P.

NOCE I DNI

(O POWIEŚCI MARJI DĄBROWSKIEJ)

I

RODZAJ literacki „powieść“ wyrósł z opowiadania przygód awanturniczych: dawać proste rozkosze pobudzanej, napinanej i wkońcu zaspokajanej ciekawości — oto prymitywna, ale nigdy chyba nie przebrzmiała i zawsze legalna motywacja powieściopisarza (a możeby „powiestnika“ zamiast niezgrabnego złożenia niemieckiego?). Z biegiem rozwoju literackiego awantura uwewnętrznia się, psychizuje. Teraz także liczy się na czytelnika ciekawego przygód, ale więcej już wewnętrznych przygód duszy. I już powieść w swej socjalnej egzystencji jest usprawiedliwiona, już tom powieści ma swoje legalne miejsce na półkach bibljoteki publicznej, która chce służyć kulturze społecznej, jeśli zaspokaja u czytelnika głód tej wiedzy, która podaje, jak inni ludzie wyglądają w środku swoich głów i serc.

Podnoszę to, by stwierdzić, że sama przygoda, bez domieszki zagadnień ideowych, zupełnie wystarcza, ażeby powieści dać prawowite i nie błahe miejsce w składzie kultury narodu, bo powieść taka jest sprawczynią jednego z najwyższych rodzajów zabawy: zabawy człowieka w drugiego człowieka. Ale walory jej rosną, jeśli prócz emocyj współczucia z drugim człowiekiem w jego niebezpiecznych (lub śmiesznych...) awanturach — powieść ugodzi w duszę czytelnika w miejsca od małości i od utrapień życia zaschłe i oschłe, ale potencjalnie zdrowe jeszcze i żywotne — i to, jakby obumarłe życie obudzi i sprowokuje, życie serdeczne, które odtaje i pojawi się ni mniej ni więcej tylko tą wyklętą i ośmieszoną... „łezką“ — wzruszeniem. Wtedy powieść staje się już, jak wszelka zresztą poezja rzeczywista, wskrzesicielką przeżyć, jeśli nie umarłych, to leżących w letargu— i lekarką... o ile dusze możnaby leczyć czem innem, niż szczęściem ż y c i a... Ale ambicje powieściopisarza dalej jeszcze mogą sięgnąć: może on zapragnąć w historję konkretnem rozumieniem swojem tak dokładnie wniknąć, jak to niedostępne jest badaczowi naukowemu; może wreszcie chcieć wygrać tworzonymi przez się ludźmi swój pogląd na świat. Te wszystkie motywacje, od sycenia ciekawości czytelnika po apostolstwo idei, nie wykluczają się wzajemnie; owszem, powieść tem bardziej będzie zajmująca, im większą obfitość aspektów da czytelnikowi, lubiącemu się zastanawiać się nad tem, co czyta. Formalnie estetycznem zadaniem pisarza będzie oczywiście jakaś konsekwentnie zachowana hierarchizacja motywów, wybór i wytrwałość stylu.

Myślę, że właśnie ta pełnia możliwości powieściowych, zrealizowanych w powieści Marji Dąbrowskiej, jest jednym z naczelnych czynników uczucia pożywności, które zostaje czytelnikowi po jej przeczytaniu — i dlatego jednym z czynników jej powodzenia. Ściśle biorąc, moment przygody jest tu najsłabiej reprezentowany; ale nasyci się czytelnik ciekaw serca ludzkiego, czytelnik o zainteresowaniach dziejowych, ale nadewszystko ten, który sam łamie się i walczy z tem wielkiem a najprostszem pytaniem: J a k w ł a ś c i w i e ż y ć, a b y j a k o ś g o d z i w i e i p o l u d z k u p r z e ż y ć t o b i e d n e l u d z k i e ż y c i e? To jest a r c y m o t y w a c j a cyklu „Noce i dni“: przez wszystkie jego tomy przewijają się dwa refreny: jeden o „biednym człowieku“ i drugi, który w tytule powieści został wyrażony; w pierwszym zawarte jest najwłaściwsze z a g a d n i e n i e, w drugim o d p o w i e d ź, odpowiedź symboliczna, prosta ale głęboka.

*

Czy „oceniać to przydzielać“ (*juger c'est qualifier*, K. Marras). W każdym razie kwestja przydziału utworu literackiego do określonego r o d z a j u l i t e r a c k i e g o stanowi conajmniej dobry sposób heurystyczny, dobre nawiązanie analizy, która potem może sobie pójść dalej. Otóż pytam naprzód, c z y p o w i e ś ć M. D. j e s t e p o p e j ą, a to w sensie h i s t o r y c z n y m — i odpowiadam odrazu przecząco: nie, bo nie daje żadnego s y n t e t y c z n e g o o b r a z u ni o s ą d u, ani ducha epoki, ani społeczeństwa danego w danej epoce, ani jakiejś warstwy społecznej, ani jakiegoś ważnego procesu społecznego lub polityczno-historycznego, ani kierunku ideowego, ani instytucyj; trudno byłoby powiedzieć, że „Noce i Dni“ są np. e p o p e j ą walki orjentacyj politycznych w przededniu W o j n y (i dlatego nie potrzebujemy przejmować się pewnemi tezami autorki, które napewno nie są sprawiedliwe), albo walki programu pracy organicznej z programem rewolucyjnym, albo e p o p e j ą zmagania się ideologji rewolucyjnej, której zależy przedewszystkiem na doraźnych skutkach, z ideologją wychowania narodu do wolności, albo e p o p e j ą stosunków między dworem a wsią, albo e p o p e j ą walki o szkołę polską, albo e p o p e j ą duchowości przedwojennego Polaka inteligenta z jego estetyzmem i rewolucjonizmem naraz, albo e p o p e j ą kryzysu religijnego epoki i t. d. Owszem, to wszystko tam jest, jest ważne dla autorki i jej ludzi, przyczynia się wybitnie do wrażenia pełni i głębi, ale to wszystko i więcej jeszcze, nie jest, jak myślę, traktowane d z i e j o w o - e p i c z n i e, bo chyba do epopei dziejowej należy w s z e c h s t r o n n e przedstawienie wybranego tematu dziejowego i należy traktowanie jego jako wartości g ł ó w n e j: osobiste losy tworzonych przez pisarza osób powinny, jeżeli to ma się nazywać epopeją — historji służyć, a nie historja im; u Dąbrowskiej przeciwnie: raz dlatego, że te wszystkie motywy o historycznym sensie są tu raczej epizodycznie traktowane, niż jako główne — choć w o r g a n i z o w a n e w przeżycia osób powieściowych! — ale także dlatego, że tu historja służy ludziom, nie oni jej: z oddalenia tygodni, kiedy z przeżyć czytelnika w jego wspomnieniu wyłaniają się decydujące ich kontury, nie czucie epoki zostaje na pierwszym planie, ale sylwety ludzkie, ich losy, troska o nie.

„Noce i Dni“ mogłyby być epopeją pewnych ugrupowań socjalnych, więc urbanizacji, pauperyzacji i deklasacji szlachty ziemiańskiej z jednej

strony, zaś awansu społecznego żywiołów ludowych z drugiej. Ale te dwie rodziny szlacheckie, których historję powieść daje, nie są jeszcze skrajnie i typowo spauperyzowane, zurbanizowane i zdeklasowane; jest to prowincjonalna, dość zamożna *gentry*, oraz rodzina administratora, a później już dzierżawcy, więc w każdym razie rodzina żyjące we dworze; prawdziwą zaś grozę procesu pauperyzacji, aż do ostatecznej proletaryzacji, odczulibyśmy dopiero w wielkiem mieście, i dopiero na tle różnorakich prób i objawów dostosowania się i niedostosowania się do warunków życia gruntownie zmienionych,—wyszedłby epiczny sens i epiczna powaga społeczno-dziejowej przemiany. A z drugiej strony, trudno uznać dobór sylwetek osób pochodzenia ludowego za specjalnie charakterystyczny, epicznie typowy, np. właściwego miejskiego inteligenta z ludu nie widzimy, mamy przeważnie półinteligentów z ograniczonego środowiska oficjalistów dworskich — (osobistości, nawiasem powiedziawszy, traktowane przez autorkę, ze swych socjalistycznych sympatyj znaną, dość z pańska; nawet postać najsympatyczniejsza i szlachetna—chyba z ludu?—X. Komodziński, jest przynajmniej śmieszna; a szlachetny mieszczanin Ceglarski jest także i uszlachcony — przez swoją matkę...) — wogóle, osobistości, które Dąbrowska ożywia przed czytelnikiem są bardzo żywotne i prawdopodobne, ale ich dobór nie jest naogół specjalnie epiczny, a przez to rozumiem, że nie są to właściwe „historyczne typy“, osobistości, które w epopei muszą być, i wszystkie te, które tam są konieczne, bo wyrażają jakiś przekrój faktycznego dziejowego procesu. Osobistości te są, w sensie historycznym, najczęściej przypadkowe; ale także przypadkowem jest rzeczywiste, nie stylizowane jeszcze, życie! Epopeja nie jest więc, z istoty swojej, a może raczej z normatywnego założenia, rodzajem nawskroś realistycznym — bo wybiera, typizuje i monumentalizuje życie; tymczasem pisarz nawskroś realistyczny właśnie cieszy się życiem w całej jego kontyngencji — i myślę, że intencje twórcze Dąbrowskiej w tym właśnie idą kierunku. Nie każda powieść historyczna jest epopeją; sądzę, że do tego rodzaju i powieść Dąbrowskiej należy, obfita zresztą w historycznie ciekawe naświetlenia.

Jest to powieść obyczajowa, z życia prowincjonalnego w Królestwie Polskiem w ostatnich dziesiątkach lat ub. w. po wybuch Wojny. Ten jednak przydział wcale nie jest definitywny: „Noce i Dni“ są także i powieścią obyczajową, o tle podmalowanem obficie i barwnie, lecz to nie jest główny temat utworu. Najserdeczniejszym tematem Dąbrowskiej jest wewnętrzne życie rodziny; w tem życiu przeżywa i na tym temacie przeprowadza najgłębszy swój problemat czyli treść utworu. Ponadto czytelnik uczuwa, że powieść jest jakąś transformacją pamiętnika: udziela mu się to bezpieczne zaufanie, że to było naprawdę...

„Było naprawdę?... a cóż to kogo obchodzi?”— zawoła formalista — „jeśli zaś to ciebie, mój czytelniku, obchodzi, jużeś złożył sobie estetyczne *testimonium paupertatis*“.

Otóż, niezmiernie osobiście daleki od sprzeciwienia się sztuce irrealistycznej, która daje uczucia niesamowitości świata — twierdzę jednak, że to uczucie swojskości, że tak powiem, swojskości metafizycznej, jakie zawdzięczamy przekonaniu, iż temu wszystkiemu, o czem mówi się w dziele literackiem, przysługuje walor rzeczywistości — jest uczuciem głęboko estetycznem.

Jest jakieś o wiele intensywniejsze i żywsze przeżywanie człowieka (lub widma!), o których wiadomo, że są, niż tych, o których wiadomo, że są — ale tylko w głowie autora. Niedarmo pierwszą troską naiwnego słuchacza i czytelnika jest ta właśnie: „czy to było naprawdę?“, a troska ta jest tem większa, im bardziej zajmujące opowiadanie. Pożywny urok wielkich realistycznych cyklów w znacznej mierze stąd płynie, żeśmy zostali zaabsorbowani obfitem życiem, w którego rzeczywistość uwierzyliśmy — i powieść D. do nich należy — a, że ów element pamiętnikarski do tego wrażenia przyczynia się, jest on dodatnim składnikiem powieści. Ale nie obeszło się bez usterki.

Jest taka sprawa. Pamiętnik jest tym — (tu socjologicznie rzecz biorąc) — rodzajem literackim, w którym właściwie żadne prawo kompozycji nie obowiązuje, jest bowiem z założenia utworem całkowicie prywatnym. Inaczej z poezją. Poeta wprawdzie zapewnia nieraz, że nie ludziom ale sobie śpiewa, lecz niepodobna przyjąć, ażeby przy poetyckiem formowaniu nie działało, choćby jaknajtajniej, pragnienie oglądu tej formy przez drugiego człowieka; więc utwór poetycki jest zawsze społecznym — i dlatego ma, immanentnie nałożony sobie, obowiązek posiadania jakiejś formy, a to jest obowiązek liczenia się z jakiemiś objektywnemi prawami recepcji przez czytelnika; do praw formy należą i jakieś reguły kompozycji. Natomiast pamiętnikarz może pisać dla czytelnika, ale nie musi; wolno mu tworzyć dzieło sztuki, ale nie jest on do artyzmu zobowiązany, wolno mu więc nadać konstytucję, jego samego obowiązującą, swemu utworowi, ale też wolno mu spisywać swe wspomnienia i myśli bez ładu i składu, wedle aktualnych widzimisię: „forma bezformalna“, jeśli tak wolno powiedzieć, jest najwłaściwszą formą pamiętnika, nb. tego najosobistszego (inna rzecz, że taki aformizm może być udany, sztuczny, zamierzony w dziele sztuki, które takim pamiętnikiem rzekomo ma być — ale też cała jego estetyczna wartość zależy od dyscypliny tego aformizmu). Pamiętnik najosobistszy wolno — zasadniczo — ogłosić drukiem, może on komuś podobać się albo niepodobać, ale jeżeli autor jego dość wyraziście zaznaczył, że to jest pamiętnik, a nie powieść — to krytyk może swój gust wyrazić, ale nie ma nic do domagania się i wszelakie jego pretensje są pod fałszywym adresem (*nb.* nie biorąc już pod uwagę takich elementarnych wymogów jak poprawność języka i t. p.).

Inaczej z książką, na której napisano „powieść”, lub wogóle odpowiadającą zasadniczo temu konwencjonalnemu typowi dzieła literackiego: kto ją kupuje, ma prawo domagać się od autora, mniejsza o to jakiej, ale zawsze jakiejś formy, jakiegoś, mniej lub więcej jawnego, starania się o dopięcie jakiejś normy formalnej, któraby świadczyła, że mamy do czynienia z dziełem sztuki: bo kto kupuje powieść, kupuje książkę o świecie zrobionym przez autora — a od każdego wy-

tworu pracy ludzkiej domagamy się formy, czyli celowej wewnętrznej organizacji. Obowiązek nadania wewnętrznie spoistej formy dziełu sztuki, które z założenia swego jest tworem społecznym — jest wyrazem poprostu handlowej, czy zawodowej lojalności artysty. Ale do czego wiodę:

Życie autentyczne spływa w znacznej mierze bezładnie, w bezmyślnej powodzi przypadków i zdarzeń niepotrzebnych, niegodnych ludzkiej pamięci, i nawet arcydzieło życia jest arcydziełem pełnem kleksów i balastu. Takiemu chaotycznemu i surowemu życiu wolno odbić się w pamiętniku, wolno np. pamiętnikarzowi spisywać wszystkie swoje niedyspozycje żołądkowe, potknięcia się na ulicy, sprawy fizjologiczne, spotkania z obojętnymi ludźmi i t. p. — i wolno mu swoim kosztem wydać taki pamiętnik; do służby recenzyjnej należy ostrzeganie czytelników przed kupowaniem takich książek mało zajmujących, ale pretensje do pamiętnikarza, myślę, byłyby nielegalne. Natomiast całkiem inaczej z powieścią; tu krytyk ma prawo domagać się jakiejś celowej selekcji zdarzeń opisywanego życia, czytelnik ma prawo domagać się, aby w książce, którą kupił, uszanowano jego czas i uwagę i zamiast życia na surowo dano mu życie sztuczne, tak wytworzone, aby, z jakiegoś tam względu, miało swoją ważność. Czyli: znowuż jest obowiązkiem zawodowej lojalności autora powieści dawać z życia opisywanych osób tylko to, co jest dla celu powieści, ze względu na jej motywację, rzeczywiście potrzebne; jeśli są w powieści błahostki życiowe, to czytelnikowi powinien być umożliwiony domysł, że i one są do czegoś potrzebne, że są worganizowane w treść i formę (możeby: „treścioform"?) powieści. Błahostek życiowych „aktualjów" (jakby się wyraził K. Irzykowski), swoją drogą, żadna powieść całkiem wyzbyć się nie może, bo one właśnie poddają czytelnikowi uczucie rzeczywistości życiowej, wytwarzają w nim zaufanie w prawdopodobieństwo postaci, uplastyczniając je, charakteryzując i t. d., ale nade wszystko wytwarzając im konkretną ich przestrzeń i konkretny czas; kiedy np. pewną ważną i przykrą rozmowę autorka przerywa opisem dokładnym i flagmatycznym, jak Niechcic wziął się do robienia papierosów, to nietylko zwalnia tym sposobem tempo opowiadania, aby dać nam, sobie i osobie powieściowej chwilę wytchnienia, lecz głównie dlatego, żeby zapomocą tej życiowej błahostki zaczepić naszą wyobraźnię o rzeczywistość: człowiek, który oto przed nami robi papierosy jest chyba naprawdę, nie jest chyba żadną fikcją, wyznaczony został przez współrzędne „zwykłego" życiowego czasu i „zwykłej" życiowej przestrzeni. W każdym razie ilość aktualjów w powieści musi być wymierzana jakąś bardzo rozsądną miarką — a właśnie pamiętnikowy charakter powieści kusić może do jej przekroczenia.

Dąbrowska gospodaruje aktualjami szeroką ręką, ale nie odczułem, ażeby, poza tem, co zostanie zaraz wytknięte, była to gospodarka rozrzutna, marnotrawna. To jest epopeja — jeśli już zgodziliśmy się w takiem zastosowaniu tego słowa używać — życia rodziny, więc i epopeja dnia powszedniego, a zatem opowieść musiała zostać obficie nadzianą drobnem życiem codziennem.

A następnie, autorka „Nocy i dni" jest narratorką zamiłowaną i te aktualja służą jej do kształtowania licznych wyrazistych sylwet, do oddawania drobnych, zajmujących zdarzeń towarzyskich. W każdym razie niema tu mowy o tem wyuzdaniu szczegółów, zwłaszcza szczegółów jaskrawych i brutalnych, na które pozwalają sobie współcześni pod tym właśnie pozorem, że sam potok życia jest nieracjonalny i anachroniczny. Samo życie — tak! Ale w powieści nie mamy do czynienia z „samem życiem", ale z waszą konstrukcją sztuczną, z waszą selekcją — i nie może być inaczej. Inna rzecz, że wolno chcieć podkreślić właśnie brutalną nieracjonalność przebiegu życiowego, brzydotę i bezlitosność losów — ale nawet wtedy obowiązuje jakaś selekcyjna ekonomja. Także i „Noce i Dni" nie są powieścią sielankową — owszem i tu są rzeczy straszne, są relacje chorób ohydnych, przedśmiertnego upadku ludzi, obrzydliwościom zostawione jest to miejsce, które sobie one w potwornych momentach życia zawłaszczają; ale niema nic ponad to, co jest z tych rzeczy koniecznem, aby t. zw. prozę życia i jego smutny finał nam uprzytomnić—i tem przerazić. *Mutatis mutandis*, realizm seksualjów jest pomiarkowany i powieść, mimo gorącego erotyzmu, tętniącego zwłaszcza w Agnieszce, jest schludna.

Przerost aktualjów dostrzegam natomiast w rozdziałach o podlotkowanych i studenckich latach Agnieszki; powieść o dniu powszednim rodziny zmienia się tu w subtelny i szczegółowy panieński pamiętnik, nie pozbawiony naiwnie dziewczęcego narcyzmu; Agnisia zbyt wiele tu dla siebie miejsca uzyskuje — w stosunku do reszty rodziny, więcej się indywidualizuje, niźli to przystoi w epopei o rodzinie. Do błędów tego typu zaliczam przeniesienie akcji na jakiś czas do Lozanny: razem z uniwersyteckim wyjazdem Agnisi; jak na epopeję rodziny wiejskiej, osiadłej, po rolniczemu ociężałej, rodziny z cichego partykularza, akcja staje się zbyt lotna, jej tło zbyt egzotyczne, o tej całej Lozannie powinnbyśmy dowiadywać się na miejscu, w Serbinowie, ze wspomnień Agnisi po jej powrocie do domu, z rozmów z matką, i powinnibyśmy na Lozannę patrzeć zdaleka, z domu wiejskiego w Polsce, widzieć ją w takiej mgle i przez taki pryzmat. Byłoby wszystko w porządku, gdyby to była powieść o Agnieszce, o jednej osobie — ale czytelnik pamiętał początek powieści epiczny i kronikarski w formie i treści, który go powiadomił, że to będzie powieść o całej rodzinie, i już się był zrósł z tym typem powieści, mając sobie poprzednio przedstawioną szeroko historję rodziców tej dziewczyny. Słowem, przez rozrost indywidualnej biografji czy tam autobiografji w niektórych częściach powieści została nieco zachwiana równowaga ważności na niekorzyść rodziny i nieco wykoleił się przyjęty już rodzaj literacki tego utworu, co czytelnik odczuwa przedmiotowo jako w pewnym stopniu dysharmonję, podmiotowo jako lekkie zniecierpliwienie, że ta, sama z siebie zajmująca i pociągająca, Agnisia, zbyt jednak wydatnie wysuwa się na pierwszy plan. Byłoby jednak niesprawiedliwe przesadzać znaczenie tej usterki, wynikłej, jak przypuszczam, z pewnej konfuzji między rodzajami literackiemi powieści i pamiętnika.

(D. c. n.)

KAROL LUDWIK KONIŃSKI

NA WIDOWNI

W dziesiątą rocznicę śmierci Władysława Reymonta.—Wzrok jasnowidza.—Poeta życia.—Intuicja i miłość nad kolebką eposu.—Reymont, Kasprowicz, Żeromski, Wyspiański.

POZNAŁEM Reymonta w r. 1893 jako autora drukowanej wówczas w „Głosie" pierwszej jego noweli p. t. „Śmierć". Opowiadanie to o starcu, wyrzuconym przez rodzinę do chlewa, aby tam dokonał żywota, było pełne okrucieństwa. Drobny ten blondynek, niepozorny i pozornie nieśmiały, miał już wówczas więcej doświadczenia życiowego, niż każdy z nas—napatrzył się różności na świecie.

Biedny był i sterany. Miał pelerynę i modne wówczas binokle na czarnym sznureczku, i te często poprawiał, bo nos miał niewydatny; bujną czuprynę coraz nerwowo podgarniał. Krótkowidz ten, jakby ze szkieł wnosić można było, był jednak jasnowidzem. Nie wskazałbym pisarza, któryby lepiej w i d z i a ł. Był to jego dar psychiczny. Całą swoją niepospolitą karjerę pisarską zawdzięczał temu wzrokowi.

Tajemnicą jego talentu było, że widział wskroś aż do sedna rzeczy. Dlatego tak uderzające były jego obrazy, że przed oczy czytelnika wysuwał rysy najgłębsze każdego zjawiska, rysy, których czytelnik, patrzący przecież stale na te same rzeczy, nigdyby się nie doszukał. Artysta taki, jak Reymont, jest odkrywcą, jak się to mówi — rewelatorem. Stąd jego sława.

Nie trzeba na to kończyć uniwersytetu, ani być myślicielem; trzeba mieć intuicję. Czem jest ta intuicja, to, co nazywamy talentem—na to niema teorji. Jasnowidze się rodzą. Na ich wzrok składają się szczęśliwie wszystkie zmysły w harmonijnem współdziałaniu. Traf natury, a potem sprawa ambitnej pracy artysty nad sobą, przynaglanej żądzą sławy.

*

Zanim doszło do owej „Śmierci", od której zaczęło się właściwe życie literackie Władysława St. Reymonta, upłynęło już autorowi ćwierć wieku bardzo ciężkiej w swym przebiegu młodości. Syn organisty, lata dziecinne spędził w Tuszynie pod Łodzią, w domu przepełnionym dużą rodziną, pod surową ręką ciągle karzącego ojca. Żałosna jest jego autobiografja [1]), gdy opowiada dzieje swej młodości. Uważano go w domu za chłopca niezdatnego do żadnego użytku. Nikomu żadnej z niego pociechy — ani się uczyć, ani pracować. W miarę lat zapominano już o nim, jako o chłopcu zmarnowanym. Z rzemiosła uciekał do teatrów wędrownych, włóczył się po świecie, głodem przymierał. Ale co się napatrzył świata i ludzi! Nikt nie wiedział, że to był właśnie kapitał.

Niewysłowiona tęsknota pociągała go w świat, dusił się w bycie drobnomieszczańskim. Z niewielkich wyżyn swej kultury małomiejskiej patrzał trochę zgóry na wieś chłopską. Że widział różnicę między wsią i miastem, to potęgowało przenikliwość jego widzenia, dlatego tak dobrze „chłopów" widział. Natomiast nad sobą miał wielką górę cywilizacji, do której rwała go tęsknota, ciekawość i ambicja.

Bywał też i to bodaj najdłużej — oficjalistą, czy drobnym urzędnikiem na kolei, gdzieś na małej stacyjce. Przeczytajcie późniejszą jego nowelę p. t. „Marzyciel", a będziecie wiedzieć, jak wyje z tęsknoty do świata dusza, uwięziona w zapadłym kącie. Rzecz dziwna: Lorentowicz w wydanej niedawno książce „Spojrzenie wstecz" opowiada, że gdy Reymont—już na szczytach sławy — mieszkał w Paryżu, to jedyną jego lekturą były dzienniki, przychodzące z kraju. Na nie czekał tutaj, jakby po to do Paryża przyjechał. Potrzebne mu to było do trawienia tego materjału krajowego, którym był naładowany.

Zanim doszło do wspaniałej epopei „Chłopi", czytaliśmy już takie dzieła Reymonta, jak: „Spotkanie" (pierwszy tom nowel), „Pielgrzymka do Jasnej Góry", „Komedjantka", „Fermenty", „Lili", „Sprawiedliwie". W pomienionej wyżej autobiografji Reymont robi takie wyznanie:

„Wszystko, com napisał do „Chłopów", jest moim wstępem literackim. Są to rzeczy w i d z i a n e, przyjdzie teraz czas na c z u t e, a później na m y ś l a n e. Jest to pierwsza faza, którą sam zamykam. Są to krzyki człowieka, próbującego słowem szukania dożyć, pozbywania się z siebie świata zewnętrznego. „Chłopami" rozpoczynam serję prac nowych. Chcę szukać duszy polskiej w jej istotnych, najgłębszych cechach, chcę ją wskrzesić i postawić na formie (?). Pragnę pokazać i unaocznić nasze życie, zrobić przekrój filozoficzny (?) wszystkich warstw, pokładów narodu, odtworzyć całe misterjum życia polskiego. Chcę z pryzmów rozproszonych, tonów... i ze strupów myśli i zaginionych obyczajów, z wrażeń, z ziemi, ze wszystkiego, co nasze, w swej najistotniejszej treści — odbudować polską duszę ogólną: p o l s k ą bo wiem, czuję i wierzę, że to dusza odrębna, i moc cudna i wspaniała, co nie zginęła pod pokładami obcych napływów i wrogich osadów i naszej własnej wrogości.

„Chłopi" są podstawą. Od ziemi zaczynam, aby później w kilkunastu powieściach, których mam plan gotowy, przejść cały obszar życia naszego. To jest praca na lat dwadzieścia. Myślę jednak, że jej dokonam; inna kwestja, czy podołam, ale robić będą dla własnej serdecznej potrzeby, nie bacząc, jak się to komu będzie podobało. Nie przez ambicję, łaknąc sławy i t. p. Zostałem pisarzem z potrzeby i z musu, z bólu, nienawiści i miłości. Muszę nim pozostać do końca, choćbym ani jednego czytelnika nie miał."

Opowieść swego życia Reymont pisał dla tłumacza, A. Wodzińskiego w roku 1903. W roku 1910 odwiedził mnie we Lwowie w redakcji „Słowa Polskiego". Skończył już był „Chłopów", przywiózł z sobą utwór niecenzuralny p. t. „Z ziemi Chełmskiej" dla „Słowa Polskiego". Pytałem go, co teraz pisze. Pokazało się, że planował trylogję, którąby objęła trzy momenty dziejów porozbiorowych: rok 1794, rok 1830, rok 1863. Wydało mi się to w twórczości Reymonta logicznem. Studja poprzednie nad społeczeństwem mogły być istotnie przygotowaniem do epopei Polski nowożytnej.

Miała to być historja jednego rodu polskiego w trzech pokoleniach. Urwał pracę — jak się potem pokazało, na części pierwszej, bo niebawem,

---

[1]) Autobiografję tę podał ze swym komentarzem A. Wodziński w „Kurjerze Warszawskim" 21 stycznia 1926 r.

gdy świat zapłonął pożogą wojny, zmierzchły w oczach dawne wydarzenia dziejowe. To jednak było w ówczesnych wynurzeniach Reymonta charakterystyczne, że pałał chęcią dokonania studjów nad szlachtą. Znał już dobrze chłopów i miasta, potrzebna mu była dla całości epopei narodowej—szlachta. Przejęty był głęboko podziwem i wdzięcznością dla tej klasy społecznej, która dała Polsce wielką cywilizację, a po rozbiorach lała krew w powstaniach. Widział w tej ofierze krwi akt ekspiacji ze strony tej warstwy, za dzieje odpowiedzialnej, ekspiacji za rozbiory. Reymont rozprawiał z głębokiem przeświadczeniem, że tę ofiarę krwi społeczeństwo złożyć musiało, aby się stać godnem życia odrodzonego.

*

Powróćmy do punktu wyjęcia tej charakterystyki, która się układu we wspomnieniu. Tym punktem był jasnowidzący wzrok Reymonta, wątły wzrok, którym przez chwiejące się binokle przenikał zjawiska. Była to owa intuicja wzroku psychicznego, widzącego rzeczy od wewnątrz, poprzez to, co dostarczały zmysły. To coś wewnętrzne, co artysta chwytał intuicją, było istotą dynamiki zjawisk, mianowicie tem, co nazywamy życiem.

Potęgą talentu Reymonta był zmysł życia. Chwytał te zasadnicze objawy, bez których nie byłoby życia. W tem leżał urok jego obrazów, że widzieliśmy przez nie życie. Wiele jest w człowieku strun, na których grają wrażenia estetyczne; wszelako najgłębszy ton dobywa ta struna, która w nas budzi poczucia piękna życia samego, radości i smętku istnienia.

Zmysł życia czynił Reymota poetą i myślicielem, zrobił go epikiem. Realista w każdym calu, lubujący się — jakby się zdawało — w popisie artystycznym oddawania ścisłego doznań zmysłowych, jak to czyni klisza, poddawał się mimowoli urokowi opisywanego życia. A że w pracy wśród literackiego środowiska kształtowała się jednocześnie myśl artysty, przeto ciekawość jego do życia we wszelkich objawach, przeradzała się potrochu w światopogląd. Wyrosło mu w rękach społeczeństwo, które pokawałku spisywał, że stało się całością, która tchnie jakąś myślą dziejową.

Reymont uczynił ze swego wzroku, ze swego zmysłu życia organ poznawania intuicyjnego. Z rodzajowości przechodził do epiki taką drogą, jaką się przechodzi od prostego widzenia faktu do wyczucia jego znaczenia.

Epika jest poezją znaczeń dziejowych, nietylko kroniką.

Reymonta uczynił artystą dar widzenia, ale że stał się pisarzem narodowym — to sprawiła jego intuicja, zapomocą której wyczuł tętno życia narodowego — przy gorącem tego życia umiłowaniu.

Stanął współrzędnie w swem pokoleniu obok Kasprowicza, który wyszedł z ludu, obok Żeromskiego, który na ten sam świat polski patrzył z poziomu kultury szlacheckiej, obok Wyspiańskiego, który ich wszystkich uzupełniał, jako historjozof i poeta dawności.

Na tych filarach dzielnego pokolenia wsparła się budowa najnowszej literatury polskiej, która odrodziła świadomość narodu na użytek nowych dziejów.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

PROMIEŃ światła pada z prasy na nasz padół nieraz z kilku stron odrazu. Oto czytamy w *„L'Action Française"* opis przebiegu zebrania, zorganizowanego w dniu 17 lisopada w Joigny przez lożę miejscową *„Le Phenix"*. Przewodniczył brat Hamelin, senator. Głównym mówcą był poseł Gaston Martin, który jak pisze informator *„L'Action Française"*, jest wysokim dygnitarzem wolnomularstwa—wiceprezesem Rady Wielkiego Wschodu, zresztą znanym pisarzem i publicystą masońskim.

W konserwatywnym „Czasie" czytamy:

„Przebywający w Warszawie od kilku dni wybitni politycy francuscy, prof. de Monzie, b. minister oświaty i deputowany Gaston Martin, podejmowani byli w dn. 25 b. m. w godzinach popołudniowych przez ministra spraw zagranicznych, p. J. Becka, lampką wina. W godzinach wieczornych ambasador Francji w Warszawie, p. Leon Noel, wydał dla gości francuskich obiad, na którym m. in. obecni byli również min. J. Szembek z żoną, min. Adam Koc, sen. Wojciech Rostworowski oraz członkowie ambasady francuskiej.

W dn. 26 b. m. w godzinach rannych pp. de Monzie i Gaston Martin przyjęci zostali przez kierownika ministerstwa wyznań religijnych i oświecenia publicznego, prof. Chylińskiego. W godzinach popołudniowych podejmował gości francuskich śniadaniem u Fukiera prezydent m. Warszawy, min. Starzyński.

W dn. 27 b. m., w godzinach wieczornych, kierownik ministerstwa oświaty, prof. Chyliński, wydaje na cześć pp.: de Monzie i Gaston Martin obiad w Resursie Kupieckiej".

Poco przybyli goście paryscy? Oto niemal jednocześnie, bo parę dni przedtem, czytaliśmy w dziennikach opis zebrania na Żoliborzu braci z polskiego Wielkiego Wschodu. W obradach owych brali udział właśnie owi delegaci władz masońskich z Paryża. Oczywiście misja ta była tajna, „Czas" o tem zebraniu nie wspomina.

„POLSKO zbudź się, nie pozwól obcym panować nad sobą". Pod takiem hasłem adwokaci Polacy, mający w Kielcach swoją siedzibę, wystosowali do kolegów z okręgu Sądu Apelacyjnego w Krakowie, apel tej treści:

„W adwokaturze polskiej, jak i w całej Polsce powinni rządzić Polacy! Zasadę tę powinien uznać każdy członek adwokatury polskiej, niezależnie od wyznania i narodowości, i ugiąć się przed nią, jako koniecznością. Inaczej, niestety, dzieje się u nas, w Okręgu bowiem Sądu Apelacyjnego Krakowskiego samorząd adwokacki opanowali całkowicie Żydzi, dopuszczając do udziału tylko nielicznych Polaków. Stan taki nadal trwać nie powinien i musi ulec zmianie, ku czemu nadarza się sposobność wobec mających się odbyć na Walnem Zebraniu w dn. 23 listopada 1935 r. wyborów do władz samorządu adwokackiego.

Wzywamy wszystkich Kolegów, ażeby, uznawszy słuszność naszej zasady, głosowali wyłącznie na Polaków.

Gdyby lista polska przepadła, wzywamy kolegów Polaków, którzy obecnie piastują jakiekolwiek godności w samorządzie adwokackim, aby niezwłocznie zrzekli się swych mandatów; niech się stanie oczywistem, co dotychczas dzięki ich udziałowi w samorządzie jest maskowane, że my Polacy w naszej Ojczyźnie ulegamy przemocy żydowskiej".

Stanowisko adwokatów kieleckich znalazło silny oddźwięk i znalazło swój wyraz w wyborach do Izby. To samo stało się i w Warszawie. Na wyborach do Izby przepadły z kretesem listy „sanacji," działającej solidarnie z żydami. Do naczel-Rady i do Rady Warszawskiej przeszło tylko dwu żydów.

A więc Polska budzi się.

JESZCZE O „WIEJSKICH PROBLEMACH"

Artykuł p. K. S. Frycza p. t. „Wiejskie problemy" (Myśl Narodowa" nr. 46) oraz odpowiedź ks. prał. P. Krysiaka („Myśl Narodowa" nr. 48)— wywołały interesującą dyskusję. Zamieszczamy tu dalsze dwa listy, otrzymane w tej kwestji, przyczyniają się one bowiem do głębszego wyjaśnienia poruszonych spraw, a przez to samo i uzgodnienia odmiennych napozór poglądów.

Red.

Suchodębie, dnia 20/XI 35 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Nie znając adresu Księdza Prałata Krysiaka, pozwalam sobie na ręce Szanownego Pana Redaktora przesłać numer jubileuszowy miesięcznika „Ziemianka Polska", wydany z okazji czterdziestolecia owocnej pracy Stow. Zjedn. Ziemianek, z prośbą o łaskawe przesłanie go autorowi odpowiedzi na artykuł p. K. S. Frycza, zamieszczonej w nr. 46 „Myśli Narodowej". Przypuszczam, że Ks. Prałatowi Krysiakowi nieznana jest zupełnie działalność ziemianki polskiej, tej, która długoletnią chwalebną tradycję dworu polskiego przejęła w spuściźnie wraz z kawałkiem ziemi swych Ojców i którą w poczuciu zdrowej ambicji stara się promieniować w życiu społeczno-gospodarczem wsi polskiej.

Zaznajomienie się z pracami ziemianki da możność Szanownemu Księdzu Prałatowi zmienić sąd krytyczny, wyrażony bez zastrzeżeń i ogólnikowo „o dziecku pańskiem", którego „matka słucha nabożeństwa przez radjo, a ojciec niedziele i święta spędza przy zielonym stoliku, lub na polowaniu". Będąc z całem uznaniem dla zdrowej tradycji piastowej chaty i chyląc głowę przed trudem i znojem „pobożnej matki chłopki", uważam jednak, że chcąc być sprawiedliwym, można i należy też czcić i rycerską tradycję dworu polskiego. Dlatego niesłusznym jest dalszy zarzut karjerowiczowstwa, postawiony przez Ks. Prałata „pańskiemu synkowi", wstępującemu do seminarjum w nadziei osiągnięcia wysokiego stanowiska w hierarchji duchownej, w której jakoby rzadkim jest wyjątkiem, żeby książę lub hrabia nie został w końcu biskupem.

Zarzutowi temu przeczy najdobitniej obecny stan Stolic biskupich w Polsce, gdzie na czterdziestu przeszło dostojników Kościoła jeden tylko Metropolita Krakowski pochodzi z książęcej rodziny, co zresztą nie przeszkadza Mu być jednym z najczcigodniejszych i najbardziej dla narodu swego zasłużonych Książąt Kościoła Katolickiego w Polsce.

Z wyrazami głębokiego poważania

MARJANOWA KINIORSKA

Szanowna Pani!

Za łaskawem pośrednictwem p. redaktora Z. Wasilewskiego otrzymałem jubileuszowy numer „Ziemianki Polskiej", otrzymałem też i list Szanownej Pani, dotyczący mojej odpowiedzi na artykuł p. K. S. Frycza „Problemy wiejskie".

Za „Ziemiankę Polską" ślicznie dziękując, na list odpowiadam jak następuje:

Nie jestem tak dalece zacofany, żebym nic nie wiedział o chwalebnej tradycji dworu polskiego, a zwłaszcza o chlubnej działalności ziemianki polskiej na polu społeczno-gospodarczem wsi polskiej co tak pięknie zobrazowane zostało w tym numerze jubileuszowym.

Nie jestem też klasowo czy rasowo uprzedzony do „krwi pańskiej", już przez to samo, że jestem kapłanem, a może poniekąd jeszcze i dlatego, że pochodzę z wolnego ludu kurpiowskiego, który nie znał pańszczyzny, w którym podobno i krwi szlacheckiej sporo było, stąd owa „fantazja jego wcale nie chłopska" (Sienkiewicz—„Potop"), stąd owe bohaterskie jego walki ze Szwedami...

Pisze Sz. Pani, że „trzeba być sprawiedliwym i należy też czcić i rycerską tradycję dworu polskiego". Owszem i ja ją czczę. Niestety, tradycja ta w ostatnich czasach dziwnie się urwała. Bo weźmy tylko stosunek dzisiejszych ziemian do t. zw. „sanacji" (o wyjątkach niema mowy). Chłop na niej się poznał i ani prośbą ani groźbą nakłonić się do niej nie daje, a panowie dziedzice nizko się jej kłaniają i wszystko bez zastrzeżeń postawili na jej kartę. To też całkiem słusznie Obóz Narodowy postawił krzyżyk na klasie ziemiańskiej jako takiej, a za fundament narodu i Państwa uważa zdrową masę chłopską, wskrzeszając w ten sposób świetną tradycję piastowską. Niech się tedy dzisiejsi ziemianie nie powołują na rycerskie zasługi przodków swoich, by snać nie trzeba im było przypomnieć owej bajki Kryłowa o gęsiach co to Rzym uratowały.

A jednak szkoda tej warstwy narodu — nie powinna ona zniknąć — powinna się stanowczo odrodzić — tylko nie przez krew semicką, lecz właśnie chłopską. A przedewszystkiem odrodzić się duchowo. Kościół tu jej dopomoże.

Pisze wreszcie Szanowna Pani, że niesłuszny jest zarzut karjerowiczostwa, postawiony przezemnie „pańskiemu synkowi", wstępującemu jakoby do seminarjum w nadziei zostania biskupem. Zdanie to moje istotnie wypadło niefortunnie—opuszczone zostały w niem słowa: „takby przypuszczać można było", bo rzeczywiście fakty, które miałem na myśli, usprawiedliwiały takie przypuszczenie; nie wypadało jednak ich uogólniać, ale też nie wypadało i p. Fryczowi wszystkich synów chłopskich, wstępujących do stanu duchownego, robić karjerowiczami i tysiąc razy gorszymi od księży o krwi pańskiej. Tak to zwykle bywa, że przesada wywołuje przesadę.

Raczy Szanowna Pani przyjąć wyrazy wysokiego szacunku, poważania i podziękowania.

Ks. Prałat P. KRYSIAK

Od p. K. S. Frycza otrzymujemy ponadto następującą notatkę:

ARTYKUŁ MÓJ O „WIEJSKICH PROBLEMACH" przyniósł obfity plon polemiczny. Na list księdza prałata Krysiaka już odpowiedziałem, — przy okazji potrąciłem też wtedy o to, co napisał krakowski „Głos narodu". Teraz do tamtych dołączyły się jeszcze dwa inne wystąpienia (listów czysto osobistych nie liczę) — napisał duży list—artykuł ksiądz F. Flaczyński i odezwała się „Gazeta kościelna", gdzie ksiądz M. Milewski—wydrukował w tej sprawie artykulik p.t. „Nowe zarzuty".

Co do listu księdza Flaczyńskiego, to zostawiam redakcji najzupełniejszą swobodę drukowa-

nia go czy nie drukowania, od siebie tylko dodam, że o ile z księdzem prałatem Krysiakiem gotów jestem zawsze skrzyżować polemiczne szpady, to nie mogę tego uczynić w obu ostatnich wypadkach. Nie mogę bowiem dyskutować z ludźmi, którzy wątpią o czystości pobudek mego wystąpienia, przypisując mi już nietylko, jak ksiądz Krysiak, lekkomyślność w informowaniu się, ale zgoła złą wolę, „tępą nienawiść do kleru", „zohydzanie" etc. Gniew jest złym doradcą i tem tylko tłumaczę, że zarówno ksiądz Flaczyński, jak ksiądz Milewski (ten ostatni jeszcze więcej) wyczytali w moim artykule rzeczy, których tam wcale niema, a na zakończenie — jako postawiony pospołu z sekciarzami i bezbożnikami — wyrażę tylko życzenie, by kler polski miał zawsze tylko takich jak ja nieprzyjaciół.

KAROL STEFAN FRYCZ

NAUKA i LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Pięknym nabytkiem dla bibljoteki są wydane w Bibljotece poetów polskich (wyd. „Parnas Polski") dwa tomy pism Zygmunta Krasińskiego. Pierwszy tom zawiera „Dzieła poetyckie", drugi — listy Krasińskiego w bogatym wyborze. Nie mieliśmy dotąd listów wydanych w takim komplecie. Słusznie wydawca i redaktor Tadeusz Pini wcielił je do wydania dzieł, listy bowiem Krasińskiego — to najprzedniejsza literatura; pisane pewno były z myślą, że będą ogłoszone. Listów tych jest tutaj około 400.

W tomie pierwszym wydawca zamieścił, jako przedmowę, swoje studjum o Krasińskim. Oba tomy ozdobione portretami i ilustrowane autografami.

Oba tomy kosztują razem w oprawie płóciennej zł. 15, bez oprawy zł. 11. Jest to wydanie bardzo tanie, praktyczne i wartościowe.

*

Ukazał się w druku szósty rocznik „Pamiętnika Koła Kielczan" (1933—1935). Kielce-Warszawa. Nakładem Koła Kielczan, s. 100.

Na zawartość tego interesującego tomu złożyły się następujące prace: artykuł „Dziesięciolecie" (Koło istnieje od r. 1925). Podany następnie z przedmową Eugenjusza Popoffa pamiętnik szkolny (1855 — 1861) Andrzeja Świętochowskiego zawiera wiele charakterystycznych szczegółów ówczesnej epoki. Obudzi on niewątpliwie zainteresowanie szerokich kół społeczeństwa, mających w pamięci szanowną postać autora.

Znany ekonomista, b. wiceminister skarbu Bolesław Markowski, opracował drobiazgowo dzieje gospodarki miasta Kielc w latach 1831—1875. Część ogólną tego studjum, które jednocześnie wyszło osobno w całości (w niewielkiej ilości egzemplarzy) autor zamieścił w „Pamiętniku".

Historyk literatury, prof. Juljusz Nowak, dał do „Pamiętnika" pracę „Biskup Kajetan Sołtyk w poezji politycznej Sejmu Czteroletniego".

Skrzętny miłośnik zabytków kieleckich, Edmund Massalski opisuje obecny, po przebudowie, stan pałacu biskupiego w Kielcach.

Następują potem napisane przez kielczan dwie sylwetki, dr. H. Podowskiego (przez dr. Rakowskiego) i Parczewskich (przez S. M.) z czasów powstania 1863 r. Miłą pamiątką są wiersze z r. 1875 dr. Aleksandra Fabjana, napisane pod wrażeniem wycieczki na Święty Krzyż. Dalej następują barwne wspomnienia Zygmunta Wasilewskiego „Wyprawa do Jaksic". Autor wypisuje z notat i materjałów, zebranych w r. 1890, co sam odkrył w Proszowskiem, jako etnograf.

Resztę kart „Pamiętnika" zajmują życiorysy zmarłych temi laty kolegów (Zydler, J. Dębicki, Łącki, Janczewski), kronika, sprawozdanie Koła. Całość ozdobiona portretami.

Tom ten „Pamiętnika" można nabyć, wysyłając zł. 4 czekiem na PKO—konto Koła Kielczan nr. 12-310. Poprzednie zeszyty można nabywać w ten sam sposób, wysyłając za tom I—zł. 2, za tomy II—V po zł. 3.

*

Józef Reiss. „Socjologiczne Podłoże Śląskiej Pieśni Ludowej". Wyd. Instytutu Sląskiego. Katowice, 1935.

Muzyka jako element twórczy w życiu narodu przejawiła się na Śląsku nie indywidualnościami poszczególnych kompozytorów, ale anonimową pieśnią ludową. „Zbiorów pieśni śląskiej z tekstem muzycznym mamy sporo", — pisze autor, — „Pietyzm cichych pracowników uchronił te pieśni od zagłady i zabezpieczył przed niwelującym wpływem obcej pieśni o charakterze międzynarodowym". Zbierali te skarby działacze narodowi. Historyk śląskiej pieśni ludowej ksiądz Emil Szramek, wydawca Juljusz Reger, wydawca Ernest Koschny, zbieracz Łukasz Walis, i zbieracz, poeta ludowy, Jan Kupiec z Łąki w powiecie pszczyńskim.

W długoletniej niewoli czeskiej i niemieckiej żyła ta pieśń w ukryciu, prześladowana i tępiona przez rządy zaborców, ale mimo to Śląsk, oderwany od pnia ojczystego, zachował, dzięki niej, poczucie odrębności narodowej. Jeszcze w przededniu Wielkiej Wojny wydawali Niemcy zakazy nauczania śpiewu polskiego, i na chóry śpiewacze nakładali kary grzywien i więzienia. Dziś te chóry odżyły. Jest ich 200, z udziałem 12.000 członków. Realizują cele artystyczne, podniesienia kultury muzycznej wśród wszystkich warstw ludności. Studjum „Socjologiczne podłoże śląskiej pieśni ludowej" treściwie przedstawia genezę i historję rozwoju, a charakteryzuje różne oblicza tej pieśni, w zależności od właściwości krajobrazu i rodzaju pracy ludu, wśród którego się narodziła. Na Śląsku zielonym, w sąsiedztwie Podhala, na Śląsku czarnym, w kopalniach i hutach, na Śląsku białym, o ziemi wapiennej, w pobliżu lasów sosnowych i torfowisk.

Wreszcie w dwóch ostatnich rozdziałach podaje autor teksty nut i słów, starożytnych i nowych polskich na Śląsku pieśni ludowych. (A. W.)

TEATR

„CYD" CORNEILLE'A — WYSPIAŃSKIEGO

Miło odetchnąć historycznośćią w naszych dusznych czasach. Przez scenę teatru Narodowego, jak przez okno otwarte, przeciągnął powiew dziejów od Kastylji hiszpańskiej XI wieku, poprzez Francję Ludwika XIV, przez Kraków Wyspiańskiego.

To, co wyczyniał Cyd (Rodryg), legendarny rycerz hiszpański, ma już lat 900, tragedja Kornela lat 300, przeróbka Wyspiańskiego — lat 30.

Klasycznemu Kornelowi dowiedli historycy, że dzieło jego jest przeróbką utworu hiszpańskiego (Guillen de Castro); pomścił zrabowanego hiszpana Wyspiański, wcielając „Cyda" — ale już jawnie — do literatury polskiej. I w tem właśnie leży wielki urok dziejów literatury, podających — naród narodowi — legendę czynów bohaterskich.

Wyspiański, wzruszający się Cydem, dziedziczy atawistycznie po dziadku hiszpańskim pierwiastki romantyczne, które jego przeróbce nadały swoistą poetycką barwę. Francuskiego ojca tej tragedji, Kornela, ów romantyzm, który do dzieła się zabłąkał, raczej kompromitował. Były to czasy niemiłosiernej, klasycznej oschłości retorycznej — i nudy. Kornel chwilowo się zabałamucił w Kastylji, potem się poprawił i już mu nic nie mogła zarzucić strzegąca klasycyzmu Akademja. Wyspiański odbrązowił Kornela tak, że słuchachając bogatych jego tyrad, dumni jesteśmy z naszego poety, który z taką odwagą, stanąwszy na szlaku dziejów literatury światowej, zmierzył się z klasycyzmem i przezwyciężył go.

„Cyd" w tej przeróbce zrobił w Polsce karjerę. Wprowadzony na scenę przez Solskiego, spopularyzowany po całym kraju (w Reducie) przez Osterwę, wszedł do żelaznego repertuaru naszego teatru.

Obecne wznowienie w teatrze Narodowym nie przyćmiło blasku dzieła. Szczególnego uroku dodaje mu właśnie to łamanie się jakiegoś odległego promienia historycznego poprzez pryzmaty epok literackich.

Dziwnie brzmi w naszych uszach główny motyw dramatu, echo prastarych wieków, splatające w węzeł dwa sprzeczne prawa serca: miłość i pomstę. Nie miłość i nienawiść, bo te uczucia wyłączałyby się, lecz miłość i pomsta — pomsta jako głębokie poczucie obowiązku społecznego wymierzania sobie sprawiedliwości dla równowagi z popełnioną krzywdą. Miłość jest uczuciem ściśle osobistem, inna

jest dla kochanka, inna dla ojca. Śmierć ojca Szimena pomścić musi — tak jej dyktuje autonomiczne uczucie miłości jako dziecka. Domaga się tego głośno, woła o śmierć dla kochanka; domaga się tego od niej uczucie odwetu, uświęcone starym obyczajem. Ale kochanek zabił jej ojca w pomście za zniewagę, wyrządzoną jego ojcu przez tamtego. Zachodzi możliwość kompensaty, której podejmuje się król.

Za zgodą króla współzawodnik w miłości bierze na siebie rolę mściciela i staje do pojedynku z Rodrygiem (Cydem). Ten szuka w tym sądzie Bożym śmierci, rzuca broń, a szlachetny mściciel kończy sprawę pojednaniem. Mściwemu sercu Szimeny staje się zadość, miłość osobista wraca do swych praw.

Sprawa potoczyłaby się inaczej, gdyby nie to, że Rodryg przez swoje poświęcenie dla ojczyzny i bohaterstwo wzbija się ponad prawo prywatne, jego ofiara zmazuje przewiny, robi go godnym łaski króla.

Dzieje ludzkości przemawiają do naz trójgłosem miłości: erotycznej, rodowej i patrjotycznej. Stąd patos dramatu, poddający się wszelkim formom interpretowania, zarówno klasycznym, jak i romantycznym. Wszystko zaś rozwiązuje bohaterstwo, jako najwyższy wskaźnik życia. Przed niem chyli czoło współzawodnik w miłości, przed niem pochyla się król, ono budzi miłość w córce króla (infantce). Rzewnie skarży się ona na swój los, los ptaka w złotej klatce, że nie może za głosem serca porwać się w słońce za bohaterem.

Tragedję wystawiono bardzo starannie. Szimenę grała p. Eichlerówna. Jest to rola trudna, bo, jak wyżej zaznaczyłem, obosieczna w stosunku do kochanka; jednocześnie pragnie jego życia i domaga się jego śmierci. Jak ktoś o kochankach Corneille'a powiedział, Szimena jest godną uwielbienia harpją. Szczególne brzmienie głosu aktorki surowość duszy Szimeny szczęśliwie uwydatnia. Nie brak, gdzie trzeba, serdecznego ciepła w tej pięknej kreacji.

Infantka p. Lubieńskiej pociągała oczy powabem swej figurynki (z obrazu Velazqueza) i muzyką swych tęsknot, zaklętych w piękny wiersz Wyspiańskiego.

Doskonałym Cydem był Jerzy Leszczyński. Wierzymy legendzie, że był bohaterski na polu walki, ale na scenie bohaterstwem jego były długie monologi, bez skazy, z brawurą wygłoszone.

Na wyżynie artyzmu stali również: p.p. Stanisławski (król), oraz ojcowie: Zelwerowicz i Brydziński. To samo rzec trzeba o rolach pomniejszych p.p. Sulimy, Broniszówny, Łuszczewskiego i Frenkla (prolog).

Oprawa dekoracyjna bardzo ładna. Z. W.

MUZYKA

FILHARMONJA. Przyjazd młodej pianistki duńskiej F r a n c e E l l e g a r d staje się już wydarzeniem. Ubiegłego roku jeszcze nieznana zupełnie, dzisiaj ściąga już do sal koncertowych swojem imieniem liczną publiczność. W piątek grała koncert fortepianowy *g-moll* Saint-Saënsa, a po głośnych oklaskach *„Le cygne"* oraz *„Campanella"* Liszta. Precyzja wykonania połączona z prawdziwie kobiecą subtelnością wprawiły — nie będzie to przesadą — wszystkich w niekłamany zachwyt. Podczas wykonywania koncertu Saint-Saënsa wprawdzie czuło się chwilami zbyt słabe, „niemęskie" uderzenie, nie wchodzi to jednak w krąg zarzutów; walory techniczne połączone z ogromną kulturą muzyczną, czynią z młodej artystki postać nieledwie że zjawiskową.

Orkiestrę prowadził młody dyrygent poznański Z y g m u n t L a t o s z e w s k i. Siła to wcale poważna, szkoda tylko, że połowę wieczoru zapełnił długą, banalną symfonją *es-dur* Brucknera. Gdy się słuchało tego utworu, przychodził na myśl Georg Grosch, który — jak się wyraził jeden z krytyków — dostrzegł brzydotę swojego narodu. Wprawdzie miałbym ochotę podyskutować na temat ścisłości tego, przytoczonego przezemnie, poglądu, niemniej jednak owa brzydota, niewątpliwie charakterystyczna dla pewnego okresu historji istniała, czego dowodem będzie choćby wspomniana symfonja, przestarzały grat muzyczny, tem smutniejszy, iż, stworzony w okresie upadku smaku, nikogo już i nigdy nie będzie cieszył... Czemu go więc nie zostawić w spokoju? Dlaczego się nim chwalić?

„Muzyka symfoniczna" Stanisława Wiechowicza jest niezwykle symptomatycznym przejawem dla tendencyj twórczych młodego pokolenia muzycznego w Polsce. Podczas gdy w poszukiwaniu form nowych współczesny nam świat twórczy zwrócił się do maszyny i prymitywu (głównie afrykańskiego), nasi kompozytorzy sięgnęli do prymitywu ludowego świeckiego (taniec), a także i związanego z kultem religijnym.

Typowa dla architektury polskiej „linja naiwna" uwidocznia się we wszystkich dziedzinach sztuki. Genjalnie uchwycił ją w muzyce Szymanowski, tworząc „Litanję", Maklakiewicz, pisząc „Święty Boże", a obecnie sięgnął do niej i Wiechowicz. Dzieło jego zdradza kulturę muzyczną i ma momenty świetne, niemniej jednak nie stanowi kompozycyjnie zwartej całości. Motyw „Anioł pasterzom mówił"... jest zbyt naturalistycznie ujęty w stosunku do następnych, środkowych części. One to są właśnie najlepsze. Niestety, im bliżej końca, tem harmonje stają się coraz bardziej poprawne, forma coraz mniej ciekawa. Całość, mimo usterek, prezentuje kompozytora co nie powinien zaniedbać swoich zdolności.

Koncert zakończono znanym, popularnym go jeszcze (podkreślam: j e s z c z e) nazwać nie można, utworem Ravela *„La valse"*. Nie sposób Ravelowi odmówić majsterstwa technicznego, znawstwa instrumentacji, niemniej jednak nie sposób odmówić słuszności powiedzeniu, iż „...wyrósł on niejako w cieniu wielkiego swego poprzednika, Claude'a Debussy". Ów cień stwarza kategorję, ustala jakość klasy czołowego dzisiaj kompozytora we Francji. Czołowego, bo jeśli się już przekroczyło sześćdziesiątkę, to decyduje o pozycji przedewszystkiem zasługa a nie talent... Nie chcę być tu źle zrozumiany. Nie odsądzam — broń Boże — Ravel'a od talentu.

Niema co — gwiazda — ale nie najpełniejszego blasku, jak się powszechnie sądzi.

W OSTATNIM numerze (127—8) miesięcznika „Muzyka" znajdujemy w rubryce kroniki bieżącej takie dwie wzmianki:

„— W Berlinie powstał projekt wystawienia opery „A i d a" V e r d i'e g o w n o w e j r e d a k c j i, o d p o w i a d a j ą c e j „n i e m i e c k i e m u o d c z u c i u r z e c z y w i s t o ś c i". Osoby działające przedstawiać będą rasę nordycką, stąd też zbędną się okazuje charakteryzacja Aidy i jej ojca, którzy w nowej koncepcji nie mogą mieć ciemnej skóry i czarnych włosów".

I zaraz poniżej:

„— Niestrudzony reformator teatru rosyjskiego K. S. Stanisławski opracował n o w ą r e d a k c j ę „C a r m e n y" B i z e t a. Treść opery, utrzymana w stylu realistycznym, będzie miała mocną ideę przewodnią, podkreślając różnice socjalne osób działających".

Mimo wszelkich pozorów objektywizmu, pierwsza wzmianka zawiera między wierszami niemało ironji, druga zaś otoczona jest wyraźną sympatją. Powody takiego potraktowania sprawy dobrze rozumiemy, chociaż raczej należałoby wybaczyć tym razem Niemcom, aniżeli Stanisławskiemu. Przez palce raczej możemy patrzeć na rozmaite dziwactwa kraju, będącego w pierwszem stadjum rewolucji, aniżeli temu, którego życie ma już po kilkunastu latach wszelkie cechy ewolucyjnego rozwoju. A i jedno i drugie nie ma najmniejszego sensu.

Ta sama „Muzyka" akurat dziesięć lat temu donosiła, że „w teatrach operowych rosyjskich poczynione zostały zmiany oper reprezentacyjnych w celu przystosowania ich do obecnych warunków politycznych. Tak „Życie za cara" zamienione zostało na „Młot i sierp", „Tosca" przerobiona został na sztukę propagandową p. t. „Walka o komunę"; w operze Mascagniego „Cavalleria Rusticana", w scenie końcowej zabija Alfio nie wieśniaka Turridu, lecz specjalnie wprowadzonego do akcji kapitalistę. Analogicznym zmianom uległy teksty oper Verdi'ego, Donizetti'ego Meyerbeer'a i in. (tak „Hugonoci" przemianowani zostali na „Dekabrystów"!)".

Przewrót bolszewicki w Rosji przyszedł do władzy, mając już za sobą olbrzymi dorobek literatury, która, podobnie jak i we Francji, pezygotowała grunt do politycznego aktu rewolucji. Wielcy pisarze rosyjscy treścią swych książek rozkładali stary system, formą wypowiadania bliscy byli doktrynalnym założeniom marksizmu, reprezentując krańcowy realizm. Mimo to istniała gwałtowna potrzeba przystosowania sztuki do potrzeb akcji propagandowej. Wytworzyła się na początku wcale ciekawa swemi koncepcjami twórczość. Z czasem jednak poczęła nudzić. I ten sarkastyczny wykrzyknik, który redaktor, piszący o przemianowaniu „Hugonotów" na „Dekabrystów", postawił na końcu wzmianki, odłożyłbym raczej na dziesięć lat, by go postawić przy zawiadomieniu czytelników o zamierzeniach Stanisławskiego.

„W Berlinie powstał projekt"... Może się tylko i na nim skończy. Niemcy nie dały w tym roku nikomu państwowej nagrody literackiej, nie znaleziono bowiem pisarza, któryby tworzył w duchu narodowo-socjalistycznym. Kto wie, czy prędko znajdą. Powstanie literatury, płynącej z założeń niemieckiej narodowej rewolucji, jest o wiele trudniejsze, aniżeli wzrost proletarjackiej produkcji sowieckiej. Narodowa rewolucja żąda pierwiastków heroizmu. A trudniej doprawdy mówić o bohaterstwie, aniżeli stać się bohaterem... Jeśli jednak surogatem heroicznej literatury ma być jasnowłosa Aida, to wygląda to wszystko na jakieś ogromne nieporozumienie. I na brak przemyśleń w dziedzinie twórczości narodowej. I na niezdawanie sobie sprawy, co to jest twórczość narodowa.

Jasnowłosa Aida? Czy również i egipcjanie zmienią skórę? W takim razie nordycy przeciw nordykom? Chyba ten projekt pozostanie tylko projektem. Ale huczek antyhitlerowski jest. Komuś wystarczy.

W. NARUSZ

FILM

MAJESTIC: „Dyktator" reż. Wiktor Saville, film angielski.

„Dyktator" jest utworem, który zainteresuje przedewszystkiem inteligentów. W czasach przemiału form rozmaitych ustrojów państwowych, mamy okazję zobaczenia, na ekranie, jeszcze jednej odmiany dyktatury, dyktatury zza pleców. Rzecz dzieje się w Danji, w XVIII-tem stuleciu. Panuje król Chrystjan, żonaty z księżniczką angielską, Matyldą. Król jest matołkiem, bez woli i własnego zdania (rządy naprawdę sprawuje jego matka), a królowa piękna i młoda czuje wstręt do małżonka. Dyktatorem staje się nadworny lekarz króla, szlachetny reformator i obrońca ludu, który potrafił całkowicie opanować króla i zdobyć jego zupełne zaufanie. Dyktator ma oczywiście przeciwko sobie królowę-matkę, dworaków i magnaterję. Młoda królowa sprzyja mu i wszystko byłoby dobrze, gdyby nasz dyktator nie wwikłał się w romans ze swą wysoko postawioną sojuszniczką. Ten romans staje się zgubą dyktatora i psuje także film, gdyż sceny liryczne pary kochanków należą do najmniej przekonywających w całym utworze. Pozatem posiada on dużo smaku i taktu, w rysunku obrazu historycznego (specjalność Anglików), wiele dobrej plastyki na początku i nieco za wolne tempo, a także brak dynamiki w niektórych scenach, które tego wymagają.

KANDYD

POKŁOSIE

MOŻE BY TAK KORPORACJE?

UWAGA ogółu skierowana była w ostatnim tygodniu niewątpliwie ku zarządzeniom, mającym na celu obniżenie cen niektórych artykułów codziennej potrzeby, a więc węgla, cukru, nafty. Opinja tak przychylnie traktowała te kroki, iż rzecznik interesów wielkiego przemysłu t. zw. popularnie a talmudycznie „Lewjatan", uznał za potrzebne ogłoszenie pewnego rodzaju manifestu w obronie przemysłu.

„Źle się dzieje rolnictwu w Polsce" — czytamy tam — „ale źle również dzieje się przemysłowi. Gorzej, niż to sobie wyobraża opinja społeczna. Znaczna większość przedsiębiorstw — z kluczowym przemysłem węglowym na czele — pracuje od lat już ze stratami... Centralny Związek przemysłu polskiego poczuwa się do obowiązku — już nawet nie w interesie przemysłu, ale w interesie całego kraju — z całym naciskiem stwierdzić, że objektywne zapoznanie się z obecną sytuacją przemysłu wystarczyłoby, aby ostrzec tych wszystkich, którzy wysuwają demagogiczne i antyspołeczne hasła walki z przemysłem, przed niszczycielskiemi skutkami ich akcji. Rozwój przemysłu jest koniecznością gospodarczą i społeczną. Od tego zależy dobrobyt społeczny, obronność kraju, możność zatrudnienia przyrostu ludności. Tylko rozwijający się przemysł może wchłonąć istniejący obecnie nadmiar sił urzędniczych w administracji publicznej, a przez to umożliwić odpowiednie wynagradzanie tych urzędników, którzy w administracji pozostaną. Warunkiem rozwoju przemysłu jest opłacalność produkcji, która pozwala na utrzymanie odpowidniej zdolności wytwórczej i sprawności technicznej warsztatów pracy. Ale warunkiem jest również objektywny stosunek opinji publicznej do przemysłu i jego organizacji".

Objektywny sąd jest oczywiście konieczny we wszelkich stosunkach, ale trzeba zwrócić uwagę na to, że sam „Centralny Związek" nie przyczynił się niczem do tego, żeby jego zdanie brane było w opinji za wyraz objektywnego sądu. Nie widzieliśmy go nigdy w innej roli, jak tylko adwokata przemysłu, a to nie wystarcza. Wyroki nie opierają się wyłącznie na wywodach obrońców.

Centralny Związek P. P. mówi w tej odezwie również, że przemysł czyni wszelkie wysiłki w celu zmniejszenia kosztów własnych produkcji. Bardzo ładnie, ale opinja uwierzyłaby temu tem skwapliwiej, gdyby znała jakieś wystąpienie Centralnego Zw. w kampanji przeciwko nadmiernie wysokim dochodom kierowników zakładów przemysłowych. Przecież to są też koszty produkcji i to dość ważkie!

Pamiętamy walkę, jaką o to toczył w stosunku do przemysłu cukrowego czcigodny marszałek Trąmpczyński. Wiemy o niesłychanie wysokich wynagrodzeniach w przemyśle hutniczym, węglowym, naftowym, wiemy o tem np., że wynagrodzenie dwu osób z władz w małopolskiej cukrowni średnich rozmiarów, przeliczone na produkcję tego zakładu, daje obciążenie kilograma cukru kwotą prawie 6 groszy, i to w czasie, kiedy uboga ludność kupuje tę niezbędną część pokarmu „na łyżeczki", bo na większy zakup odrazu jej nie stać. W tych sprawach Lewjatan głosu nie zabierał.

Według obliczeń oficjalnych, przeprowadzone obecnie obniżki cen, dokonane przecież prawie całkowicie w porozumieniu z kartelami, będą miały ten skutek, że ludności pozostanie w kieszeni w ciągu roku około 130 miljonów złotych. Łatwo jest jednak przekonać się, że jeszcze przed paru laty ogół przepłacał znacznie większą kwotę (o ile wziąć różnicę ceny ówczesnej i dzisiejszej, uznanej za wystarczającą) na jednym tylko artykule z pośród dziś wymienianych. Czy można się dziwić, iż w społeczeństwie powstało przekonanie, że przemysł nie jest tak bardzo ożywiony poczuciem dobra społecznego, że są tam rekiny, chęt-

nie żerujące na biedzie ogólnej i że nawet te tysiąc wagonów węgla, jakie przemysł węglowy z radości po zamachu majowym ofiarował dla biednej ludności Warszawy, nie przytoczyły się z otwatego serca.

„Warszawski Dziennik Narodowy" słusznie zapytuje: „Co się stało z nadwartością, jaką kartele ściągnęły z rynku zapomocą wysokich cen. Czy to uciekło zagranicę? Czy poszło na tantjemy i wysokie pensje dyrektorskie? Czy obrócone zostało na inwestycje przemysłowe? A może na jakieś inne jeszcze, pozagospodarcze cele"... Zamiast wyjaśnień w tych kapitalnych kwestjach, Centralny Związek mówi tylko o marnieniu warsztatów, o stratach, które wyglądają zupełnie niezrozumiale.

Gdyby tak Związek przekształcił się w korporację przemysłu w nowoczesnem znaczeniu, gdyby opinja wiedziała, że czuwa nietylko nad zapewnieniem przemysłowi dobrych warunków egzystencji, ale również i nad tem, żeby interes publiczny nie poniósł szkody, że hamuje chciwość swych członków — a to co innego; wtedy zyskałby niewątpliwie zaufanie opinji i jego enuncjacje mogłyby się odwoływać do objektywizmu tej opinji. Dziś przebrzmią bez echa.

ARGUS

NA MARGINESIE

Z rozmyślań listopadowych.

— Jak się to w życiu wszystko odmienia. Dzisiaj Car pisze konstytucję dla Polski, a Kordjan zajmuje wysokie stanowisko w policji!

OD WYDAWNICTWA

W zeszłym tygodniu załączyliśmy do numeru przekazy w celu przypomnienia czytelnikom „Myśli Narodowej", że **czas odnowić przedpłatę na rok 1936.**

Zapewne doszło już do świadomości każdego głoszone coraz szerzej i żywiej hasło jednoczenia się ludzi jednomyślnych w sprawie narodowej. Gdy tak zależy na organizowaniu opinji publicznej, to pierwszą rzeczą jest popieranie organów prasy narodowej.

„Myśl Narodowa", mając za sobą dziesięć roczników, nie potrzebuje chyba ogłaszać prospektem na rok jedenasty swego istnienia. Przypomina tylko o terminie odnowienia przedpłaty, gdy nowy rok się zbliża.

Nie wątpimy, że czytelnicy, złączeni z pismem wspólnością duchową, potrzebę jego istnienia i rozwoju uważają za niezbędną i wszelkiemi siłami pomogą do przetrwania ciężkich warunków, w jakich się znalazły wszystkie prace kulturalne. Zły to byłby rachunek, gdybyśmy na prenumeracie pisma, urabiającego naszą ideologję, chcieli robić oszczędności.

Upraszamy gorąco przyjaciół naszych, aby wcześnie odnowili przedpłatę (ile możności na rok lub na parę kwartałów zgóry) i zachęcali znajomych do zaznajomienia się z „Myślą Narodową".

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.